Indo-Pacyfik: Nowa anatomia potęgi i dylemat wojny oraz pokoju w ujęciu Dennisa Hardy'ego

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje region Indo-Pacyfiku nie jako obszar geograficzny, lecz jako strategiczny konstrukt będący centrum współczesnej rywalizacji globalnej. Autor wskazuje na zlanie się Oceanu Indyjskiego i Pacyfiku w jeden system przepływów handlowych, militarnych i technologicznych. W tekście omówiono dylemat bezpieczeństwa: podczas gdy mocarstwa takie jak Chiny, Indie czy USA dążą do kontroli nad kluczowymi szlakami, zbrojenia mające gwarantować pokój mogą stać się samospełniającą się przepowiednią konfliktu. Współczesny stan relacji opisano jako „pokój podejrzliwy", gdzie tradycyjna dyplomacja przeplata się z wojną hybrydową, cyberatakami i presją ekonomiczną. Kluczowym wnioskiem jest uznanie, że pokój w tym regionie nie jest stanem naturalnym, lecz wynikiem ciągłego zarządzania ryzykiem katastrofy.

The article analyzes the Indo-Pacific region not as a geographical area, but as a strategic construct that is the center of contemporary global rivalry. The author points to the merging of the Indian and Pacific Oceans into a single system of trade, military, and technological flows. The text discusses the security dilemma: while powers such as China, India, or the USA strive for control over key routes, armaments intended to guarantee peace may become a self-fulfilling prophecy of conflict. The current state of relations is described as a 'suspicious peace,' where traditional diplomacy intertwines with hybrid warfare, cyberattacks, and economic pressure. The key conclusion is the recognition that peace in this region is not a natural state, but the result of continuous risk management regarding catastrophe.

Artykuł analizuje Indo-Pacyfik nie jako neutralną przestrzeń geograficzną, lecz jako dynamiczny konstrukt strategiczny i współczesną inkarnację Rimlandu – kluczowego

pasa brzegowego, który decyduje o dostępie do zasobów i kontroli nad globalnymi przepływami. Główną tezą tekstu jest przekonanie, że w tym regionie pokój nie stanowi stanu naturalnego, lecz jest kruchą sztuką codziennego odraczania katastrofy. Autor dowodzi, że współczesna potęga mocarstw (USA, Chiny, Indie) przestała opierać się wyłącznie na kontroli lądów, a zaczęła zależeć od zarządzania łącznością: kablami podmorskimi, portami i punktami dławienia (chokepoints). W obliczu pułapki bezpieczeństwa, gdzie zbrojenia stają się samospełniającą się przepowiednią wojny, oraz w kontekście sakralizacji konfliktów przez religię i pamięć kolonialną, stabilność regionu zależy od zdolności mocarstw do strategicznego samoograniczenia. Indo-Pacyfik jawi się zatem jako geopolityczne laboratorium epoki po hegemonii, w którym o przetrwaniu zdecyduje to, czy państwa potrafią zarządzać siłą bez ulegania kultowi siły.

SŁOWA KLUCZOWE

Indo-Pacyfik | anatomia potęgi | teoria Rimlandu | Heartland | pułapka bezpieczeństwa | chokepoints | wolność żeglugi | Inicjatywa Pasa i Szlaku | geopolityka przepływów | strategiczną nadwrażliwość | asymetryczna przemoc | islamizm w geopolityce | zagrożenia nietradycyjne | mocarstwo oceaniczno-systemowe

Indo-Pacyfik jako strategiczny konstrukt i arena rywalizacji

Indo-Pacyfik, albo geografia, która przestała udawać neutralność. To nie jest po prostu obszar na mapie; to mapa po przebudzeniu. Nazwa ta opisuje rzeczywistość, która istniała od dawna, lecz przez lata nie posiadała tak wysokiej rangi w zachodnim języku strategicznym. Ocean Indyjski i zachodni Pacyfik postrzegano dotąd jako osobne przestrzenie: jeden jako szlak surowców, kolonii, ropy i przypraw, drugi zaś jako teatr nowoczesnej historii Ameryki, Japonii, Chin i Korei. Dopiero współczesna kumulacja handlu, demografii, militaryzacji, logistyki oraz kryzysu klimatycznego sprawiła, że oba akweny zlane zostały w jedno pojęcie. Nie stało się tak dlatego, że morza zmieniły bieg, lecz ponieważ polityka dostrzegła, iż ropa, kontenery, kable podmorskie, lotniskowce, migracje i algorytmy płyną tym samym nerwowym układem świata.

Indo-Pacyfik jest konstruktem, ale nie fikcją. Jest tak samo realny jak „Europa Środkowa", „Bliski Wschód" czy „Globalne Południe" – nie wyrasta z samej geografii fizycznej, lecz z przecięcia interesów i wyobraźni strategicznej. Hardy słusznie zauważa, że mówimy o regionie „na krawędzi", gdyż to tutaj zbiegają się najgłębsze przesunięcia naszej epoki. Zachód nie znika, lecz traci monopol na definiowanie reguł. Chiny przestały być jedynie fabryką świata, stając się kandydatem do przebudowy globalnego porządku, a Indie przestają być tylko obiektem kolonialnej historii, wyrastając na gracza demograficznego i wojskowego pierwszej wielkości.

Japonia odchodzi od powojennego pacyfizmu nie z kaprysu, lecz z lęku przed strategicznym osamotnieniem. ASEAN zaś usiłuje uniknąć roli dywanu, po którym cudze armie przechadzają się w lakierkach wielkich idei. Indo-Pacyfik nie jest więc regionem, który można po prostu dodać do atlasu – on zmienia sens całego atlasu. Metafora Janusa okazuje się tu wyjątkowo celna. Janus patrzy w dwie strony, a współczesna polityka międzynarodowa wymaga właśnie tej zdolności: widzenia równocześnie pokoju i wojny, handlu i blokady, współpracy i sabotażu, dyplomacji i pocisków hipersonicznych.

Naiwnością jest patrzenie tylko w jedną stronę; cynizmem – uznanie, że ta druga i tak zwycięży. Mądrość strategiczna zaczyna się w momencie zrozumienia, że pokój nie jest stanem naturalnym, lecz sztuką codziennego odraczania katastrofy. Nie wystarczy powtarzać, że nikt rozsądny nie chce wojny. Historia stanowi ponure archiwum dowodów na to, że ludzie nierozsądni często dochodzą do władzy, a ci rozsądni zbyt długo wierzą w ich blef. Pytanie „wojna czy pokój?" nie jest zatem retoryczne – jest testem diagnostycznym.

Po jednej stronie ważą się argumenty wojny: zbrojenia, roszczenia terytorialne, nacjonalizmy, konflikty pamięci, walka o surowce, arsenał nuklearny, presja demograficzna i pokusa faktów dokonanych. Po drugiej stronie stoją argumenty pokoju: wzajemna zależność gospodarcza, koszt globalnego konfliktu, instytucje regionalne oraz świadomość, że zwycięstwo w wojnie systemowej może okazać się triumfem na ruinach własnej przyszłości.

Pułapka zbrojeń i prymat kontroli nad przepływami

Hardy nie twierdzi naiwnie, że pokój zwycięży dzięki wrodzonej dobroci ludzi. Jego teza jest silniejsza: wojna nie jest nieuchronna, lecz staje się coraz bardziej prawdopodobna, gdy państwa mylą przygotowania obronne z uzależnieniem od logiki konfrontacji. Tu powraca stara maksyma: Si vis pacem, para bellum – jeśli chcesz pokoju, szykuj się do wojny. W podręcznikach strategii brzmi to jak realizm, w ustach generałów jak roztropność, a w budżetach państw jak niewinny wzrost nakładów. Hardy odwraca jednak tę logikę i pyta: ile razy zbrojenia były rzeczywiście polisą

ubezpieczeniową pokoju, a ile stały się samospełniającą się przepowiednią? Broń ma bowiem osobliwą właściwość – rzadko pozostaje jedynie argumentem zamkniętym w sejfie. Sama jej obecność zmienia psychologię decydentów. Kto ma młotek, zaczyna podejrzanie często widzieć gwoździe.

Kto dysponuje lotniskowcami, bazami, rakietami, satelitami czy systemami autonomicznymi, zaczyna wierzyć, że świat jest planszą do zarządzania z dystansu. Rzeczywistość ma jednak irytujący zwyczaj odpowiadania ogniem tym, którzy mylą ekran dowodzenia z rzeczywistym stanem rzeczy. Współczesne opinie strategiczne są przez to rozdarte. Nie dominuje już dawny liberalny optymizm, wedle którego handel miał automatycznie cywilizować stosunki międzynarodowe, ale nie triumfuje jeszcze pełna logika wojny totalnej. Dominuje stan pośredni: pokój podejrzliwy i uzbrojony; pokój podszyty blokadami, sankcjami, manewrami morskimi, wojną prawną, presją celną, cyberatakami i kampaniami dezinformacyjnymi. To nie jest pokój Kanta, lecz pokój portów, kabli i cieśnin. Pokój, który może zostać przerwany nie tylko formalnym wypowiedzeniem wojny, ale kolizją okrętów, blokadą rafy, incydentem w powietrzu, przechwyceniem statku, błędem algorytmu lub decyzją polityka, który odkryje, że mobilizacja narodowa jest najtańszym narkotykiem dla słabnącej legitymacji.

Dane i analizy potwierdzają tę diagnozę. UNCTAD w 2025 roku wskazywał, że tonaż przechodzący przez Kanał Sueski w maju tego samego roku był o 70 procent niższy niż w 2023 roku, a Cieśnina Ormuz pozostaje jednym z najwrażliwszych punktów globalnego handlu i transportu ropy. W 2026 roku Reuters przypominał, że Cieśnina Malakka jest najruchliwszym morskim szlakiem świata, przez który przechodzi około 22 procent globalnego handlu i 29 procent morskiego transportu ropy. To nie są abstrakcyjne dane logistyczne, lecz mapa zależności, na której każda blokada staje się politycznym trzęsieniem ziemi. Indo-Pacyfik jest więc regionem, w którym pojęcie terytorium przestaje oznaczać wyłącznie ląd. Terytorium obejmuje morze, dno morskie, przestrzeń powietrzną, orbitę, kable podmorskie, porty, chokepoints, rafy, sztuczne wyspy, strefy ekonomiczne i szlaki danych. Dawna geopolityka pytała: kto kontroluje ląd? Nowa geopolityka pyta: kto kontroluje przepływ? Przepływ energii, towarów, informacji, minerałów, ludzi i strachu.

Indo-Pacyfik jako współczesna inkarnacja Rimlandu

Klasyczna opozycja Heartlandu i Rimlandu nie znika, lecz zostaje przepisana na język współczesności. Heartland – wnętrze Eurazji – wciąż oznacza zasoby, masę lądową, głębię strategiczną i potencjał kontynentalny. Rimland, czyli pas brzegowy, to z kolei dostęp, handel, porty, sojusze morskie i możliwość powstrzymywania potęg lądowych. Jednak XXI wiek dodaje

trzecią warstwę: nie wystarczy panować nad lądem lub morzem; trzeba panować nad łącznością między nimi.

Indo-Pacyfik jest naturalnym spadkobiercą teorii Rimlandu. Nie stanowi jedynie „obrzeża" Eurazji, lecz jest pasem, przez który wnętrze kontynentu oddycha, handluje i projektuje swoje wpływy. Chiny mogą być potęgą lądową, ale ich wzrost zależy od morza, portów, surowców, cieśnin i rynków zewnętrznych. Indie są cywilizacją subkontynentu, lecz ich ambicja mocarstwowa bez Oceanu Indyjskiego pozostaje ambicją z amputowaną nogą. USA leżą poza Eurazją, jednak ich globalna pozycja zależy od zdolności utrzymania sieci sojuszy na jej peryferiach. Japonia, Korea Południowa, Australia, Filipiny, Wietnam, Singapur i Indonezja nie są jedynie dodatkami do wielkiej gry. Są jej zawiasami. A zawias bywa mniejszy od drzwi, lecz to on decyduje, czy drzwi się otworzą, czy spadną komuś na głowę.

Indo-Pacyfik staje się geopolitycznym laboratorium epoki po hegemonii, w której brakuje alternatywnego porządku. Stary system słabnie, nowy jeszcze się nie ustabilizował, a w szczelinie między nimi rośnie temperatura. USA nie mogą już samotnie zarządzać całym układem, lecz są zbyt potężne, by wycofać się bez stworzenia próżni. Chiny są zbyt silne, by akceptować dawną hierarchię, ale zbyt zależne od globalnych przepływów, by bezkarnie ją zniszczyć. Indie są zbyt ważne, by pozostać bierne, lecz zbyt ostrożne, by stać się prostym narzędziem amerykańskiego containment. ASEAN jest zbyt centralny, by być neutralny w sensie czystym, a jednocześnie zbyt zróżnicowany, by mówić jednym głosem supermocarstwa. To nie jest koncert mocarstw. To raczej orkiestra, w której każdy gra własną partyturę, dyrygentów jest kilku, a perkusista z działu "wojna" ćwiczy coraz głośniej.

Kluczowa intuicja Hardy'ego polega na tym, że wojna w Indo-Pacyfiku nie musi zacząć się od wielkiego planu podboju. Może wybuchnąć w małym punkcie, który stanie się symbolem prestiżu. Od rafy. Od wyspy. Od statku rybackiego. Od patrolu. Od linii na mapie, której nikt poza specjalistami nie potrafi wskazać, ale za którą wszyscy są gotowi umierać, gdy zostanie opakowana w język honoru narodowego. Wielkie wojny często rodzą się z małych miejsc, bo dają one przywódcom złudzenie kontroli. Łatwiej przekonać społeczeństwo, że bronimy tej skały, cieśniny czy „odwiecznej" linii, niż przyznać, iż w istocie bronimy pozycji w hierarchii świata.

Osie sporów w Indo-Pacyfiku są czymś więcej niż lokalnymi konfliktami. Kaszmir nie jest tylko sporem Indii i Pakistanu; to miejsce, gdzie kolonialny podział subkontynentu, nacjonalizm, religia i broń nuklearna tworzą mieszankę o ogromnej sile wybuchowej. Himalaje nie są wyłącznie granicą Indii i Chin; stanowią strefę buforową, magazyn wody, symbol prestiżu i test psychologiczny dla dwóch państw-cywilizacji.

Indo-Pacyfik jako przestrzeń strategicznej nadwrażliwości i imperialnych pokus

Tajwan nie jest tylko wyspą; to węzeł technologii, demokracji i chińskiej pamięci o wojnie domowej, a zarazem fundament amerykańskiej wiarygodności i globalnego rynku półprzewodników. Morze Południowochińskie z kolei nie jest zwykłym akwenem; to sala sądowa bez skutecznego komornika, handlowa autostrada, magazyn zasobów i scena, na której prawo międzynarodowe zderza się z buldożerem budującym sztuczną wyspę.

W analizie należy zachować rygor prawdziwościowy. Nie każda militaryzacja oznacza planowanie wojny, nie każde ćwiczenia wojskowe są preludium inwazji i nie każda inwestycja portowa jest bazą wojenną w przebraniu. Równie nieodpowiedzialne byłoby jednak twierdzenie, że wszystkie te działania są niewinne tylko dlatego, iż państwa lubią beton, ceremonie i mapy. Strategia rzadko przychodzi w mundurze galowym. Częściej objawia się jako kredyt infrastrukturalny, umowa o dostępie do portu, system monitoringu, kabel, platforma logistyczna, wspólne ćwiczenia albo „tymczasowa" obecność doradców. Imperializm XXI wieku nie zawsze potrzebuje gubernatora w tropikalnym hełmie. Czasem wystarczy arkusz kalkulacyjny, zadłużenie i nabrzeże głębokowodne.

Indo-Pacyfik jest także przestrzenią pamięci kolonialnej. Ta pamięć nie stanowi moralnego dodatku do „twardej" geopolityki – ona jest jej paliwem. Państwa Azji Południowej i Południowo-Wschodniej pamiętają, że zachodnie deklaracje o prawie, wolności żeglugi i cywilizacji często podróżowały w towarzystwie armat, monopoli handlowych i pracy przymusowej. Pamiętają, że granice rysowano szybko, zazwyczaj cudzą ręką i kosztem cudzej przyszłości. Pamiętają, że bogactwo centrum budowano na peryferiach, którym później tłumaczono, iż powinny nauczyć się lepszego zarządzania. Nie usprawiedliwia to współczesnych autorytaryzmów ani rewizjonizmów, ale tłumaczy, dlaczego język Zachodu nie zawsze brzmi w regionie tak, jak zakładał jego nadawca. Kto przez stulecia mówił „porządek", a praktykował eksploatację, nie powinien dziwić się, że dziś jego słownik bywa czytany z podejrzliwością. Analiza idzie dalej, pokazując, że kolonializm nie był wyłącznie europejskim wynalazkiem – Japonia budowała własne imperium w Korei i Mandżurii.

Chiny traktują Tybet i Sinciang jako przestrzenie strategicznego zabezpieczenia granic i korytarzy, a nie obszary równoprawnej podmiotowości kulturowej. Jest to istotne, gdyż łatwa narracja „Zachód winny, Wschód niewinny" jest intelektualną drzemką. Rzeczywistość okazuje się bardziej niewygodna: imperialna pokusa nie ma paszportu. Zmienia języki, flagi i uzasadnienia, lecz jej rdzeń pozostaje ten sam. Kto posiada siłę, chce ją przekształcić w przestrzeń. Kto posiada przestrzeń, pragnie zamienić ją w prawo. Kto zaś posiada prawo, dąży do ogłoszenia, że tak było od zawsze.

Pytanie o wojnę i pokój w Indo-Pacyfiku jest w istocie pytaniem o zdolność świata do opanowania własnych sukcesów. Region ten nie tylko generuje zagrożenia, ale tętni energią: demograficzną, technologiczną, gospodarczą i kulturową. Jego dynamika wynika z faktu, że miliardy ludzi weszły lub wchodzą w nowoczesność, której dawne centrum nie jest już w stanie reglamentować. To dobra wiadomość dla godności świata, lecz trudna dla stabilności. Każdy awans historyczny rodzi pytanie o miejsce przy stole. A gdy stół okazuje się za mały, jedni proponują negocjacje, drudzy przynoszą większy mebel, trzeci ostrzą noże, a czwarti zakładają, że skoro mają najdłuższą historię, to deser należy im się z definicji.

Pierwsza odpowiedź na pytanie „wojna czy pokój?" brzmi: ani wojna nie jest przesądzona, ani pokój nie jest zabezpieczony. Indo-Pacyfik znajduje się w stanie strategicznej nadwrażliwości. Każdy impuls może zostać zwielokrotniony przez pamięć, prestiż, technologię, propagandę i lęk przed utratą twarzy. A utrata twarzy w polityce mocarstw bywa groźniejsza niż utrata pieniędzy – fundusze można pożyczyć, lecz twarz odzyskuje się jedynie demonstracją siły. Właśnie tu Janus patrzy na nas bez sentymentu. Jedna jego twarz słyszy szum fal, druga – werbel wojny. Najgorszym błędem decydentów byłoby uznać, że słyszą tylko jedno z nich.

Indo-Pacyfik jako współczesny Rimland i przestrzeń kontroli

Heartland, Rimland i nowa anatomia potęgi. Jeśli Indo-Pacyfik jest sceną, należy zapytać, jaki dramat na niej rozgrywa się aktualnie. Nie wystarczy stwierdzić: „rywalizacja mocarstw". To formuła poprawna, lecz zbyt płaska. Mocarstwa rywalizują zawsze; gdyby mogły, rywalizowałyby nawet o pogodę, definicję rozsądku i prawo do ostatniego słowa w historii. Istotne jest zatem nie samo istnienie tego sporu, lecz jego struktura: o co toczy się gra, jakie są jej osie, gdzie przebiegają linie tarcia i dlaczego właśnie Indo-Pacyfik stał się miejscem, w którym dawne teorie geopolityczne wracają jak stare mapy wyciągnięte z archiwum w chwili pożaru.

Klasyczna geopolityka operuje dwoma wielkimi wyobrażeniami przestrzeni: Heartlandem i Rimlandem. Heartland, w ujęciu Halforda Mackindera, oznaczał kontynentalne serce Eurazji – ogromną masę lądową, zasobną i głęboką, trudną do zdobycia od strony morza i zdolną do potężnej koncentracji siły. Była to przestrzeń imperiów lądowych, kolei i armii; zaplecze strategiczne polityki myślącej kategoriami wnętrza kontynentu. Mackinderowska maksyma – kto panuje nad Europą Wschodnią, panuje nad Heartlandem; kto panuje nad Heartlandem, panuje nad Wyspą Świata; kto panuje nad Wyspą Świata, panuje nad światem – nie była jedynie opisem mapy, lecz projektem

lęku. Obnażała obawę Zachodu przed powstaniem jednej dominującej potęgi kontynentalnej, która połączyłaby zasoby, ludność i przemysł w blok niemożliwy do powstrzymania z zewnątrz.

Rimland, rozwinięty przez Nicholasa Spykmana, stanowił odpowiedź na tę obsesję wnętrza. Spykman przeniósł punkt ciężkości na pas brzegowy Eurazji: strefę portów, cieśnin i wybrzeży, obszar państw pośrednich oraz handlu i kontaktu między lądem a morzem. To właśnie tam potęgi kontynentalne wychodzą ku światu, a mocarstwa morskie próbują je zatrzymać. Rimland jest jednocześnie przestrzenią przepływu i blokady; korytarzem i tamą. Jest miejscem spotkania wielkiej masy lądowej z oceanem, gdzie strategia przeobraża się w logistykę, a logistyka w politykę. Indo-Pacyfik jawi się zatem jako wielki powrót Spykmana: pas brzegowy, który przestał być peryferią i stał się nerwem świata.

Właśnie dlatego koncepcja Indo-Pacyfiku jest tak politycznie drażliwa. Dla jednych stanowi język wolnej żeglugi, stabilności i pluralizmu regionalnego. Dla innych – zwłaszcza dla Pekinu – jest eleganckim opakowaniem strategii powstrzymywania Chin. Słowo „Indo-Pacyfik” brzmi spokojnie, niemal akademicko, lecz w praktyce niesie konkretny program: połączenie Oceanu Indyjskiego z zachodnim Pacyfikiem w jedną przestrzeń strategiczną, w której Japonia, Indie, Australia, USA i wybrane państwa ASEAN mają ograniczać chińską dominację. To nie jest niewinny atlas. To atlas z dopiskiem: "tu przebiega przyszła linia oporu".

Heartland i Rimland nie są jednak pojęciami muzealnymi; w XXI wieku zostają przepisane przez technologię. Dawna opozycja ląd-morze już nie wystarcza, gdyż potęga operuje dziś także w powietrzu, kosmosie i cyberprzestrzeni, poprzez kable podmorskie, dane, łańcuchy dostaw czy infrastrukturę finansową. Państwo może nie kontrolować terytorium w klasycznym sensie, a jednak kontrolować zależność. Może nie okupować portu, lecz finansować jego rozbudowę. Może nie wysłać wojsk, ale zbudować system monitoringu. Może nie przeciąć granicy czołgami, lecz przejąć dane, zadłużyć partnera, sparaliżować system energetyczny lub wymusić korzystną decyzję dzięki dominacji technologicznej.

Dualizm mocarstw: chińska walka o dostęp kontra amerykański system kontroli

Dawne imperia potrzebowały flagi na maszcie; nowe często wolą umowę licencyjną, standard techniczny i port głębokowodny. W nowej anatomii potęgi Chiny są przykładem państwa łączącego logikę Heartlandu z ambicją Rimlandu. Jako potęga kontynentalna, ich bezpieczeństwo

historycznie zależało od kontroli granic lądowych, buforów, stepów i gór – stąd kluczowe znaczenie Tybetu, Sinciangu, Mongolii Wewnętrznej czy Azji Środkowej.

Jednocześnie są potęgą przemysłową, której rozwój zależy od morza: importu energii, eksportu towarów oraz dostępu do surowców i rynków. Chiny nie mogą pozostać jedynie Heartlandem, bo fabryka świata dusi się bez oceanu. Nie mogą jednak stać się swobodną potęgą morską, dopóki pierwsze łańcuchy wysp – amerykańskie sojusze, Tajwan, Japonia, Filipiny i Australia – ograniczają ich wyjście na Pacyfik. Pekin znajduje się zatem w podwójnym przymusie: musi zabezpieczyć ląd i jednocześnie otworzyć morze.

Inicjatywa Pasa i Szlaku to coś więcej niż program infrastrukturalny; to geopolityczna próba obejścia słabości. Lądowy „pas" ma zmniejszyć zależność od morskich punktów dławienia, zwłaszcza Cieśniny Malakka. Morski „szlak" zaś ma przekształcić porty i logistykę w sieć wpływów rozciągniętą od Azji Południowo-Wschodniej przez Ocean Indyjski po Afrykę Wschodnią i Morze Czerwone. Patrząc chłodno, bez propagandowego zachwytu czy antychińskiej histerii, widać projekt państwa zabezpieczającego własne drogi życia. Patrząc sceptycznie – projekt budowania tych dróg poprzez cudzą zależność. Tu właśnie pojawia się polityczny problem: infrastruktura może być mostem, ale może też być smyczą. A smycz, nawet wykonana z betonu, kabli i kredytu, pozostaje smyczą.

Stany Zjednoczone postrzegają Indo-Pacyfik odwrotnie: nie jako drogę wyjścia z zamknięcia, lecz jako pas utrzymania dostępu. Amerykańska potęga od dekad opiera się na zdolności do działania daleko od własnych granic. USA są mocarstwem oceaniczno-systemowym – nie muszą posiadać całego świata, jeśli potrafią zarządzać jego kluczowymi przejściami, sojuszami, standardami i bezpieczeństwem szlaków. Ich interes w regionie nie sprowadza się jedynie do obrony Tajwanu czy Japonii; polega na obronie zasady, że żadne mocarstwo kontynentalne nie może zamknąć przestrzeni morskiej i uczynić z niej własnego jeziora strategicznego. USA bronią więc nie tylko sojuszników, ale architektury pozwalającej im pozostać mocarstwem globalnym.

W tym miejscu zaczyna się dramat wiarygodności. Mocarstwo hegemoniczne nie może łatwo odpuścić, gdyż każdy odwrót jest odczytywany jako zapowiedź kolejnych ustępstw. Mocarstwo wschodzące z kolei nie może ustąpić, bo każde cofnięcie się bywa interpretowane wewnętrznie jako upokorzenie i dowód na to, że dawny hegemon nadal dyktuje reguły. Tak powstaje klasyczna pułapka bezpieczeństwa: jedna strona zbroi się dla poczucia bezpieczeństwa, druga widzi w tym zagrożenie i odpowiada tym samym, co pierwsza interpretuje jako potwierdzenie swoich obaw. Nikt formalnie nie pragnie wojny, lecz wszyscy krok po kroku budują jej warunki. Historia zna tę choreografię aż za dobrze. To taniec na linie, podczas którego orkiestra zapewnia, że gra wyłącznie muzykę obronną.

Indie zajmują w tej układance pozycję szczególną, będąc zarazem potęgą Rimlandu i cywilizacyjnym kontynentem samym w sobie. Ocean Indyjski nosi ich nazwę, ale nie jest ich własnością.

Regionalni gracze i infrastruktura zależności

To przestrzeń, w której Nowe Delhi widzi naturalną strefę wpływów, a jednocześnie obszar coraz silniej penetrowany przez Chiny. Indyjska elita strategiczna stoi przed dylematem: jak przeciwstawić się chińskiemu okrążaniu, nie stając się przy tym młodszym wykonawcą amerykańskiej strategii? Indie chcą być partnerem USA, ale nie klientem. Pragną korzystać z zachodniej technologii i współpracy wojskowej, lecz nie zamierzają porzucać autonomii strategicznej ani relacji z Rosją, które przez dekady stanowiły filar ich bezpieczeństwa. To polityka balansowania – momentami elegancka, momentami irytująca dla Waszyngtonu, ale z punktu widzenia Indii w pełni racjonalna. Państwo o ambicjach cywilizacyjnych nie wychodzi z cienia kolonializmu po to, by natychmiast wejść w cudzy cień strategiczny. Indie przypominają nam również, że demografia staje się potęgą tylko wtedy, gdy zostanie przekształcona w realną zdolność. Sama liczba ludności nie wygrywa rywalizacji; może być kapitałem, ale może stać się i ciężarem. Daje dostęp do rynku, żołnierzy, innowatorów i konsumentów, lecz generuje też bezrobocie, napięcia społeczne, presję na zasoby oraz urbanizację pozbawioną infrastruktury.

Indie są zatem wielką obietnicą i wielkim pytajnikiem. Ich pozycja w Indo-Pacyfiku zależeć będzie nie tylko od lotniskowców i rakiet, ale od zdolności państwa do zarządzania własną skalą. Gigant może być potężny, ale może też potknąć się o własne nogi. Historia nie nagradza samego rozmiaru, lecz organizację tego rozmiaru. Japonia natomiast stanowi przypadek państwa, które po dekadach powojennego pacyfizmu zaczyna uznawać, że sama pamięć klęski nie wystarczy jako strategia bezpieczeństwa. Wzrost Chin, programy rakietowe Korei Północnej, rewizjonizm Rosji i niepewność amerykańskiej polityki zmuszają Tokio do rekonfiguracji swojej roli. Jest to proces delikatny, gdyż japońska remilitaryzacja budzi historyczne lęki sąsiadów, zwłaszcza Korei Południowej i Chin. W Indo-Pacyfiku przeszłość nigdy nie jest naprawdę przeszła. Ona siedzi przy stole negocjacyjnym, nawet jeśli nie ma plakietki z nazwiskiem.

Tokio musi zatem budować zdolności obronne, jednocześnie zarządzając cieniem własnego imperialnego dziedzictwa. Każdy ruch Japonii jest odczytywany podwójnie: jako odpowiedź na realne zagrożenia i jako echo dawnych traum regionu. Korea Południowa znajduje się w jeszcze trudniejszym położeniu – jest technologiczną demokracją pod stałą presją nuklearnego sąsiada. Jej sukces gospodarczy nie znosi geopolitycznego absurdu: jeden z najnowocześniejszych krajów

świata żyje pod groźbą reżimu, który uczynił z izolacji metodę przetrwania, a z broni nuklearnej polisę na bezkarność. Korea Północna, choć mniejsza od Chin czy USA, w logice osi sporów bywa elementem, który może uruchomić wielką lawinę. Państwo słabe gospodarczo, lecz uzbrojone nuklearnie, nie jest po prostu słabe – jest niebezpiecznie asymetryczne. Może nie wygrać wojny, ale potrafi sprawić, że nikt jej nie wygra.

ASEAN w tej architekturze pełni rolę środka ciężkości, który nie chce przyznać, że nim jest. Państwa Azji Południowo-Wschodniej leżą w samym punkcie podparcia Indo-Pacyfiku, lecz nie tworzą jednolitego mocarstwa. Ich interesy są zróżnicowane, relacje z Chinami i USA niejednoznaczne, a pamięć kolonialna wzmacnia niechęć do zewnętrznych pouczeń. ASEAN unika wyboru między Waszyngtonem a Pekinem, gdyż oznaczałoby to utratę pola manewru.

Strategia ta jest sztuką opóźniania konieczności. Niektórzy nazwą to kunktatorstwem, inni zaś dojrzałością małych i średnich państw, które wiedzą, że gdy słonie walczą, trawa nie wygłasza manifestów, lecz próbuje przeżyć. Nie wolno jednak lekceważyć tej „trawy". Hardy trafnie przypomina, że małe państwa wyspiarskie i średnie mocarstwa mogą przesuwać układ sił. W geopolityce pionek nie jest bez znaczenia, jeśli stoi na właściwym polu. Malediwy, Seszele, Mauritius, Filipiny, Sri Lanka, Singapur, Indonezja czy państwa Pacyfiku wydają się peryferyjne tylko komuś, kto myli rozmiar terytorium z wagą położenia. W epoce portów, baz, kabli i stref ekonomicznych mała wyspa może znaczyć więcej niż duża prowincja. Strategiczna wartość miejsca nie wynika z jego powierzchni, lecz z tego, co można dzięki niemu kontrolować.

Tu pojawia się kategoria chokepoints – punktów dławienia. Cieśnina Malakka, Ormuz, Bab al-Mandab, Kanał Sueski czy podejścia do Oceanu Indyjskiego to nie tylko nazwy z geografii handlu. To zastawki krwioobiegu globalizacji. Jeśli zostaną zablokowane, gospodarka światowa dostaje arytmii. W epoce „just in time" nawet niewielki zator ma skutki systemowe. Kontenerowiec, niewidoczny z gabinetu ministra, potrafi wpłynąć na ceny energii, inflację, budżety domowe i nastroje społeczne. Oto prozaiczna prawda globalizacji: wielka polityka zaczyna się czasem od tego, że statek nie dopłynął do celu. Indo-Pacyfik jest zatem przestrzenią ekonomii bezpieczeństwa.

Handel nie jest przeciwieństwem strategii – jest jej medium. Surowce krytyczne, półprzewodniki, energia czy dane płyną przez sieci, które mogą być chronione, kontrolowane albo przerwane. Państwa rozumieją już, że zależność gospodarcza nie zawsze pacyfikuje konflikty; czasem staje się narzędziem przymusu. Dawna wiara w „pokój przez handel" wymaga korekty. Handel zmniejsza skłonność do wojny, gdy zależność jest wzajemna i przejrzysta. Gdy jednak jest asymetryczna i powiązana z autorytarną koncentracją decyzji, może działać jak cichy zakładnik. Bon mot na nasze czasy mógłby brzmieć: kto sprzedaje ci wszystko, może pewnego dnia sprzedać ci także twoją bezradność.

Prawo międzynarodowe jako instrument interesów w nowym Rimlandzie

Powraca problem prawa międzynarodowego. Prawo morza, wyłączne strefy ekonomiczne, zasady wolności żeglugi, arbitraże czy konwencje mają znaczenie, lecz ich skuteczność zależy od gotowości państw do uznania, że prawo ogranicza także silnych. Gdy mocarstwa akceptują normy tylko wtedy, gdy są one wygodne, słabsi szybko przekonują się, że normy są dekoracją cudzej przewagi. Morze Południowochińskie stanowi tu podręcznikowy przykład: roszczenia historyczne, sztuczne wyspy, militaryzacja raf oraz ignorowanie niekorzystnych rozstrzygnięć pokazują, że prawo bez egzekucji bywa mapą dobrych intencji rozłożoną na stole, przy którym siedzą ludzie z piłami mechanicznymi. Jednocześnie należy unikać prostej moralistyki. Wszystkie mocarstwa posługują się językiem prawa selektywnie, choć nie w tym samym stopniu i nie w tych samych formach.

USA bronią wolności żeglugi, lecz historia ich interwencji budzi sceptycyzm części świata wobec amerykańskich deklaracji. Chiny mówią o suwerenności, jednocześnie ograniczając ją innym tam, gdzie interes wymaga „historycznej" korekty mapy. Indie bronią autonomii strategicznej, choć ich polityka wobec mniejszych sąsiadów bywa odbierana jako protekcjonalna. Japonia posługuje się językiem ładu liberalnego, lecz jej sąsiedzi wciąż pamiętają przemoc imperialną. ASEAN deklaruje neutralność, podczas gdy poszczególne państwa kalkulują zyski i ryzyka płynące z relacji z każdym z większych graczy.

Nie oznacza to, że wszystkie te stanowiska są moralnie równoważne; oznacza jedynie, że analiza musi dostrzegać interes ukryty pod retoryką. W polityce międzynarodowej deklaracje są jak mundury galowe: wiele mówią o aspiracjach, znacznie mniej o rzeczywistych intencjach. Koncepcje Heartlandu i Rimlandu pozwalają zrozumieć coś jeszcze: dzisiejszy spór nie dotyczy wyłącznie dominacji, lecz formatu świata. Czy przyszły porządek oparty będzie na względnie otwartych przepływach, pluralizmie sojuszy i ograniczaniu hegemonii regionalnych? Czy raczej na strefach wpływów, w których wielkie państwa uznają swoje prawo do „naturalnej" dominacji nad sąsiadami?

Indo-Pacyfik jest poligonem, na którym ta alternatywa zostanie przetestowana. Tajwan sprawdzi, czy demokracja wyspiarska może przetrwać pod presją kontynentalnego mocarstwa roszczącego sobie prawo do historycznej całości. Morze Południowochińskie zweryfikuje, czy prawo morza ma znaczenie w starciu z faktami dokonanymi. Ocean Indyjski pokaże, czy Indie zdołają pełnić rolę stabilizatora, nie stając się hegemonem. ASEAN sprawdzi natomiast, czy neutralność może być realną strategią, a nie tylko wygodnym hasłem wypowiadanym pod presją dwóch stron.

Kluczowa jest teza, że Indo-Pacyfik to Rimland epoki po globalizacji niewinnej. Dawniej wierzono, że przepływy same wygładzą konflikty; dziś widzimy, że trzeba je chronić, dywersyfikować i zabezpieczać przed przemocą. Port przestał być jedynie symbolem handlu – stał się potencjalnym aktywem strategicznym. Kabel podmorski nie jest już tylko infrastrukturą techniczną, lecz arterią suwerenności cyfrowej. Wyspa przestała być miejscem wypoczynku czy kolonialną stacją; dziś to baza, radar, strefa ekonomiczna i pionek zdolny zmienić układ sił. Geografia nie zniknęła – po prostu nauczyła się mówić językiem technologii. Prowadzi to do niepokojącego wniosku.

Pokój jako twarda strategia samoograniczenia

Wojna w Indo-Pacyfiku, jeśli wybuchnie, nie musi przypominać dawnych bitew morskich ani klasycznych starć armii lądowych. Może przybrać formę hybrydy: blokady, cyberataków i sankcji, działań w szarej strefie, presji na rybołówstwo czy incydentów z udziałem milicji morskich. Do tego dojdą przejęcia infrastruktury, uderzenia rakietowe, wojna informacyjna i ograniczona operacja wokół wyspy, która wymknie się spod kontroli. Najbardziej niebezpieczna jest właśnie wizja wojny „ograniczonej", gdyż decydenci mogą uwierzyć, że da się ją dozować jak lek. Tymczasem wojna to lekarstwo, którego skutki uboczne poznaje się zazwyczaj dopiero po zażyciu.

Odpowiedzialna polityka pokoju nie może polegać na pacyfistycznym zaklinaniu rzeczywistości. Musi być twarda, instytucjonalna, logistyczna i psychologiczna. Jej celem powinno być zmniejszenie pokusy faktów dokonanych poprzez budowę kanałów komunikacji kryzysowej, wzmacnianie odporności łańcuchów dostaw, ochronę prawa morza oraz tworzenie mechanizmów rozwiązywania incydentów i ograniczanie militaryzacji symbolicznych punktów zapalnych. Pokój nie jest przeciwieństwem strategii; jest najlepszą z nich, o ile zostanie dobrze zaprojektowany. W przeciwnym razie pozostaje jedynie pauzą techniczną przed kolejną rundą przemocy.

Hardy'ego należy czytać najpoważniej. Jego pytanie „war or peace" nie jest moralnym westchnieniem człowieka zmęczonego światem, lecz pytaniem o kompetencję cywilizacyjną. Czy państwa potrafią zarządzać siłą bez kultu siły? Czy potrafią bronić granic bez mitologii upokorzenia? Czy potrafią korzystać z morza, nie zamieniając go w magazyn rabunku? Czy potrafią uznać interesy innych, nie utożsamiając tego natychmiast ze słabością? I czy rozumieją, że w epoce broni nuklearnej, globalnych łańcuchów dostaw i kryzysu klimatycznego zwycięstwo militarne może okazać się formą strategicznej porażki?

Indo-Pacyfik jest nie tylko regionem ryzyka, ale egzaminem z myślenia. Heartland przypomina, że masa lądowa i zasoby wciąż mają znaczenie; Rimland wskazuje, że o przepływie potęgi decydują dostęp, wybrzeża i sojusze. Technologia uczy, że żadna mapa nie jest pełna bez kabli, satelitów,

danych i energii, a historia przypomina, że granice narysowane cudzą ręką potrafią krwawić przez stulecia. Ekonomia z kolei dowodzi, że statek, port i fabryka są integralną częścią bezpieczeństwa narodowego. A Janus, cierpliwy odźwierny bram, przypomina rzecz najprostszą: kto patrzy tylko w stronę pokoju, może nie zauważyć wojny; kto zaś patrzy wyłącznie w stronę wojny, może ją w końcu przywołać.

Odpowiedź na pytanie „wojna czy pokój?" brzmi zatem: pokój w Indo-Pacyfiku będzie możliwy tylko wtedy, gdy państwa zrozumieją, że geografia nie jest przeznaczeniem, lecz odpowiedzialnością. Rimland może być pasem wymiany albo pasem oblężenia. Ocean może stać się wspólną drogą lub wspólnym polem minowym. Wyspy mogą służyć jako pomosty albo lonty, a granice mogą porządkować przestrzeń lub zamieniać pamięć w broń. Wszystko zależy od tego, czy polityka uzna, że potęga bez samoograniczenia nie jest dojrzałością, lecz dziecięcą chorobą imperiów. A dziecięca choroba imperiów, jak wiemy z historii, bywa śmiertelna dla dorosłych społeczeństw.

Punkty zapalne jako wielowarstwowe osie sporów

Osie sporów: granice, wyspy i geopolityka małych miejsc o wielkich skutkach. Po rozpoznaniu Indo-Pacyfiku jako nowego Rimlandu epoki technologicznej trzeba zejść z poziomu wielkiej mapy na poziom miejsc, które wydają się drobne tylko komuś, kto nigdy nie widział, jak historia zapala się od punktu. Geopolityka nie wybucha równomiernie; nie płonie cała mapa naraz. Najpierw pojawia się szczelina, uskok, rysa. Hardy używa pojęcia fault lines, osi sporów, z pełną świadomością jego sejsmicznego sensu: pod powierzchnią pozornego ładu gromadzi się energia, niewidoczna w codziennym języku dyplomacji, aż nagle pęknięcie staje się katastrofą. W Indo-Pacyfiku takich pęknięć jest wiele: granice po kolonialnych cięciach, wyspy przekształcone w bazy, rafy zamienione w argumenty prawne, cieśniny będące gardłem globalizacji oraz archipelagi o znaczeniu większym niż niejedna stolica.

Błędem byłoby patrzeć na te punkty jak na lokalne animozje. W klasycznej publicystyce konflikt graniczny bywa przedstawiany jako spór dwóch państw o „kawałek ziemi". To infantylizacja problemu. W Indo-Pacyfiku niemal każdy taki obszar ma kilka warstw: prawną, symboliczną, wojskową, historyczną, surowcową, komunikacyjną i prestiżową. Czasem stawką jest dostęp do wody, czasem prawo do wyłącznej strefy ekonomicznej, kontrola nad szlakiem lub pamięć o upokorzeniu; bywa, że chodzi o możliwość rozmieszczenia radaru, lotniska bądź wyrzutni, a czasem o najzwyklejszą potrzebę pokazania własnej opinii publicznej, że państwo „nie ustępuje". Gdy

polityka zamienia topografię w tożsamość, nawet skała wystająca z morza może stać się ołtarzem narodowego honoru.

Pierwszym wielkim typem osi sporów są granice lądowe, często będące bliznami po kolonialnym nożu. Granica indyjsko-pakistańska, zwłaszcza w Kaszmirze, jest jednym z najgroźniejszych przykładów. Jej geneza tkwi w pośpiesznym podziale subkontynentu w 1947 roku, gdy brytyjskie imperium opuszczało Indie w sposób, który bardziej przypominał administracyjne przecięcie żywej tkanki niż odpowiedzialne narodziny dwóch państw. Linia wytyczona przez ludzi spieszących się do wyjścia z historii pozostawiła po sobie miliony przesiedlonych, masową przemoc, traumę religijną i konflikt, który od dekad nie chce umrzeć.

Kaszmir jest dziś czymś więcej niż spornym terytorium. To miejsce, gdzie spotykają się nacjonalizm hinduski, pakistańska tożsamość państwowa, islam, armia, pamięć kolonizacji i broń nuklearna. Jeżeli istnieje na świecie przykład dowodzący, że źle narysowana granica może stać się długoterminową maszyną politycznej śmierci, Kaszmir należy do pierwszego szeregu. W tym konflikcie szczególnie niepokojąca jest obecność arsenału atomowego. Indie i Pakistan nie są państwami peryferyjnymi uzbrojonymi wyłącznie w retorykę; są potęgami nuklearnymi, które wielokrotnie znajdowały się na krawędzi eskalacji. Każdy poważniejszy incydent w Kaszmirze ma więc strukturę podwójnego ryzyka: lokalnego starcia i globalnego lęku.

Broń nuklearna miała stabilizować poprzez odstraszanie. W praktyce stabilizuje jednak tylko do momentu, w którym ktoś nie pomyli determinacji z brawurą, sygnału z prowokacją albo ograniczonego uderzenia z początkiem wojny egzystencjalnej. Odstraszanie jest jak chodzenie po lodzie z przekonaniem, że skoro dotąd nie pękł, to znaczy, że jest wieczny. Nie jest. Po prostu jeszcze nie pękł.

Drugą wielką linią napięcia są Himalaje – przestrzeń, w której geografia fizyczna spotyka się z geopolityką w stanie niemal czystym. Granica chińsko-indyjska nie jest tylko linią oddzielającą dwa państwa; to strefa buforowa, obszar pamięci wojny, teren rywalizacji infrastrukturalnej i symboliczna ściana między dwiema cywilizacyjnymi ambicjami. Chiny, zajmując Tybet, zyskały nie tylko kontrolę nad ogromnym obszarem wyżynnym, lecz także strategiczną głębię wobec Indii. Z perspektywy Pekinu Tybet jest dachem bezpieczeństwa; z perspektywy Tybetańczyków – ojczyzną poddaną przymusowej integracji, a z perspektywy Indii przestrzenią, która zamieniła dawny bufor kulturowy i geograficzny w bezpośrednią granicę z mocarstwem kontynentalnym.

Himalaje są także wieżą ciśnień Azji. Źródła wielkich rzek, lodowce oraz systemy wodne Indusu, Gangesu i Brahmaputry sprawiają, że kontrola nad wyżynami nie jest tylko kwestią prestiżu wojskowego, lecz przede wszystkim długoterminowego bezpieczeństwa wodnego setek milionów

ludzi. W epoce zmian klimatycznych woda staje się surowcem strategicznym o krytycznym znaczeniu; bez niej rozpada się biologiczna podstawa społeczeństwa. Kto kontroluje źródła, zapory, dane hydrologiczne i infrastrukturę rzeczną, ten może wpływać nie tylko na gospodarkę, ale na samą egzystencję sąsiadów. Tu geopolityka przestaje być grą elit, a staje się pytaniem o to, czy rolnik po drugiej stronie granicy będzie miał czym nawodnić pole.

Trzecią granicą – symbolicznym absurdem nowoczesności – jest 38. równoleżnik na Półwyspie Koreańskim. Linia tymczasowa, wyznaczona w logice powojennego podziału wpływów, stała się jedną z najtrwalszych ran XX wieku. Korea Północna i Południowa są jak dwa eksperymenty historyczne ustawione naprzeciw siebie: autarkiczna dyktatura nuklearna i zaawansowana demokracja technologiczna, głód polityczny i globalna kultura cyfrowa, kult wodza i społeczeństwo sieciowe. Granica między nimi nie jest więc tylko podziałem terytorialnym; to granica dwóch odpowiedzi na pytanie o nowoczesność.

Co więcej, obecność broni jądrowej po stronie Pjongjangu sprawia, że nawet państwo gospodarczo słabe może stać się graczem, którego nie wolno zignorować. Słabość połączona z nuklearnym szantażem tworzy szczególny rodzaj siły: desperackiej, nieprzejrzystej i odpornej na klasyczne kalkulacje kosztów.

Granice lądowe są bliznami, wyspy są nerwami Indo-Pacyfiku.

Geopolityka wysp jako architektura kontroli i zapalna semantyka

W kulturze popularnej wyspy kojarzą się z rajem: palmami, białym piaskiem i ucieczką od cywilizacji. W geopolityce są czymś odwrotnym: punktami projekcji siły, kotwicami stref ekonomicznych, bazami lotniczymi, radarowymi i morskimi, przystankami logistycznymi oraz narzędziami kontroli szlaków. Wyspa może być mała, ale jej cień prawny na morzu bywa ogromny. Dzięki wyłącznym strefom ekonomicznym nawet niewielki skrawek lądu otwiera dostęp do zasobów rybnych, złóż, dna morskiego i kluczowych tras żeglugowych. Geopolityka wysp opiera się właśnie na tej dysproporcji: mała powierzchnia generuje wielki zasięg konsekwencji. Najbardziej oczywistym i najgroźniejszym przykładem jest Tajwan. Nie jest on jedynie wyspą sporną między Pekinem a Tajpej, lecz jednym z centralnych testów przyszłego ładu międzynarodowego.

Dla Chińskiej Republiki Ludowej Tajwan to niedokończona sprawa wojny domowej, symbol integralności terytorialnej i warunek pełnego przezwyciężenia "stulecia upokorzeń". Dla Tajwańczyków jest realnym społeczeństwem politycznym, które wykształciło własną demokrację,

instytucje, tożsamość i model rozwoju. Z perspektywy Stanów Zjednoczonych stanowi element wiarygodności sojuszniczej i kluczowy punkt pierwszego łańcucha wysp, natomiast dla gospodarki światowej jest sercem zaawansowanej produkcji półprzewodników. W jednym miejscu zbiegają się zatem: technologia, demokracja, prestiż, pamięć, strategia morska i ryzyko wojny mocarstw. Tajwan pokazuje, jak niebezpieczna bywa różnica między mapą prawną a polityczną. Większość państw świata nie uznaje go jako niezależnego podmiotu w pełnym sensie dyplomatycznym, jednak w praktyce jego istnienie jest faktem politycznym i strategicznym. Pekin mówi o zjednoczeniu, Tajpej o zachowaniu samostanowienia, Waszyngton o status quo, a świat udaje, że ta semantyczna gimnastyka może trwać wiecznie. Może, ale nie musi. Status quo przypomina porcelanę: wygląda stabilnie, dopóki wszyscy ostrożnie obchodzą się ze stołem. Problem zaczyna się wtedy, gdy jeden z graczy uznaje, że porcelana i tak należy do niego.

Propozycja Hardy'ego – "Formuła dla Formozy", obejmująca demilitaryzację cieśniny, wyrzeczenie się pretensji terytorialnych i zmianę symbolicznego języka politycznego – jest próbą wyjścia poza logikę upokorzenia. Jej wartość nie polega na natychmiastowym realizmie politycznym; w obecnych warunkach byłaby skrajnie trudna do przyjęcia, gdyż wymagałaby rezygnacji z narracji legitymizujących każdą ze stron. Wartość ta tkwi gdzie indziej: pokazuje, że pokój wymaga nie tylko przesunięcia wojsk, lecz także rozbrojenia języka. W konfliktach tożsamościowych nazwa bywa pociskiem. Słowa takie jak "Chiny", "zjednoczenie", "secesja", "prowincja" czy "niepodległość" mogą uruchamiać całe systemy politycznych lęków. Dyplomacja przyszłości będzie musiała umieć rozminowywać nie tylko cieśniny, ale i słowniki.

Drugim wielkim teatrem wyspiarskim jest Morze Południowochińskie. Tu geopolityka przypomina prawo własności pisane na wodzie, ale egzekwowane stalą. Wyspy Spratly i Paracele, rafy, mielizny, sztucznie powiększane lądy oraz instalacje wojskowe tworzą krajobraz, w którym morze jest stopniowo przekształcane w architekturę kontroli. Chiny traktują ten obszar jako historyczną strefę własnych praw; państwa regionu – Wietnam, Filipiny, Malezja, Brunei i Tajwan – zgłaszają własne roszczenia, a prawo międzynarodowe próbuje porządkować rzeczywistość, którą fakty dokonane nieustannie wypychają poza paragrafy.

Morze Południowochińskie to podręcznik wojny w szarej strefie. Presja nie zawsze wymaga użycia regularnej marynarki wojennej. Można wykorzystać straż przybrzeżną, milicję morską, statki rybackie, blokady, manewry, oślepianie laserem czy taranowanie, a także administracyjne zakazy i infrastrukturę budowaną pod szyldem cywilnym, lecz gotową do zastosowań militarnych.

Taktyka faktów dokonanych i koszt ludzki wielkiej strategii

W ten sposób konflikt nie przekracza progu wojny, lecz stale przesuwa granicę normalności. To strategia kropli: każda z osobna wydaje się zbyt mała, by wywołać pełną reakcję, ale razem zmieniają linię brzegową polityki. Zanim świat zorientuje się, że doszło do zmiany, nowy stan faktyczny jest już utrwalony betonem, radarem i pasem startowym.

Mechanizm ten jest szczególnie groźny, ponieważ obnaża słabość prawa międzynarodowego. Prawo działa najlepiej wtedy, gdy spór dotyczy interpretacji norm uznawanych przez wszystkie strony; zawodzi jednak, gdy jedna ze stron traktuje te normy jako przeszkodę taktyczną, a nie zobowiązanie. Orzeczenia, konwencje i arbitraże nie mają własnej floty. Mogą delegitymizować działania, lecz nie zawsze potrafią ich zatrzymać. Rodzi to cyniczne pytanie, którego nie wolno ignorować: czy w świecie wielkich mocarstw prawo międzynarodowe jest rzeczywistym prawem, czy tylko językiem, którym słabsi próbują zawstydzić silniejszych? Odpowiedź nie powinna być ani naiwna, ani nihilistyczna. Prawo ma znaczenie, gdyż tworzy standard oceny, legitymizuje koalicje i utrudnia przemoc. Jednak prawo pozbawione siły politycznej przypomina latarnię w czasie sztormu: wskazuje skały, lecz nie zatrzyma statku, którego kapitan postanowił rozbić cudzy port.

Podobne napięcia przenikają do kolejnego pierścienia sporów – wysp Azji Północno-Wschodniej: Kuryli, Senkaku/Diaoyu oraz Dokdo/Takeshima. Ich znaczenie bywa trudne do pojęcia dla zewnętrznego obserwatora. Jak to możliwe, że państwa o potężnych gospodarkach i rozwiniętych instytucjach wikłają się w spory o skrawki lądu? Odpowiedź brzmi: ponieważ nie chodzi wyłącznie o ziemię. Chodzi o pamięć wojny, status regionalny, zasoby podmorskie, kontrolę stref, godność narodową i niechęć do uznania narracji sąsiada. Japonia, Rosja, Chiny, Tajwan i Korea Południowa nie spierają się jedynie o geografię, lecz o to, czyja wersja historii ma zostać uznana za obowiązującą. A historia, gdy zostaje wpisana w terytorium, twardnieje szybciej niż beton.

Archipelag Chagos i baza Diego Garcia pokazują natomiast, że kolonializm nie jest tylko przeszłością regionu, lecz strukturą trwającą w formie militarnej. Wysiedlenie Czagosjan, oderwanie archipelagu od Mauritiusa i przekształcenie Diego Garcia w kluczową bazę amerykańską na Oceanie Indyjskim to przykład podporządkowania praw lokalnej społeczności logice strategicznej. Z punktu widzenia mocarstw była to infrastruktura bezpieczeństwa; z perspektywy wysiedlonych – przemoc ubrana w język konieczności. Ten konflikt dowodzi, że „globalna stabilność" często ma bardzo lokalną cenę, płaconą przez ludzi, których nazwisk nie ma w depeszach dyplomatycznych. Wielka strategia chętnie mówi o równowadze sił, lecz rzadko liczy łzy tych, których przesuwa jak pionki.

Mauritius, Seszele czy Malediwy ujawniają jeszcze jedną prawdę: w Indo-Pacyfiku małe państwa nie są biernymi obiektami gry. Często próbują rozgrywać większych graczy, balansując między Indiami a Chinami, przyciągając inwestycje i uzyskując gwarancje bezpieczeństwa, by jednocześnie zachować suwerenność. To gra ryzykowna, lecz zrozumiała. Małe państwo nie może udawać, że żyje poza geopolityką; może jedynie próbować sprzedać swoje położenie tak, by nie sprzedać własnej przyszłości.

Problem polega na tym, że granica między partnerstwem a zależnością bywa cienka. Kredyt, baza, port, projekt infrastrukturalny, „doradcy" czy wspólne ćwiczenia – każdy z tych elementów może być narzędziem rozwoju albo początkiem utraty autonomii. Diabeł, jak zwykle, nie siedzi w ideologii, lecz w załącznikach do umowy.

Wyspy jako strategiczne zawiasy świata

Szczególnie dramatycznym przypadkiem są Malediwy, gdzie geopolityczne przeciąganie liny między Indiami a Chinami nakłada się na zagrożenie klimatyczne. Państwo wyspiarskie może zostać wciągnięte w rywalizację wielkich potęg, mierząc się jednocześnie z perspektywą fizycznego zanikania części terytorium wskutek podnoszenia się poziomu mórz. To sytuacja niemal metafizyczna: państwo walczy o suwerenność w świecie, w którym sama podstawa tej suwerenności – ląd – staje się niepewna. Klasyczne prawo międzynarodowe zakłada względną trwałość terytorium, jednak zmiany klimatyczne zmuszają do pytania: co stanie się z państwowością, obywatelstwem, strefą ekonomiczną i prawami morskimi, jeśli wyspa przestanie nadawać się do życia albo zniknie pod wodą?

To już nie jest science fiction, lecz nadchodzący egzamin dla prawa, które powstało w epoce stabilniejszych brzegów. Wyraźnie widać, że geopolityka wysp łączy się z Błękitną Gospodarką i nietradycyjnymi zagrożeniami. Wyspy nie są jedynie bazami i symbolami, ale strażniczkami oceanicznych ekosystemów; dają prawa do stref połowowych, dna morskiego, minerałów, zasobów biologicznych i tras żeglugowych.

Jeżeli państwa będą traktować ocean wyłącznie jako magazyn surowców i przestrzeń projekcji siły, Indo-Pacyfik stanie się nie tylko areną konfliktu militarnego, lecz także miejscem katastrofy ekologicznej. Rabunkowe rybołówstwo, górnictwo głębinowe, militaryzacja raf, zanieczyszczenia czy niszczenie ekosystemów mogą wywoływać konflikty równie skutecznie jak spory graniczne. Głód ryb i utrata wybrzeży nie potrzebują ideologii, aby destabilizować państwa. Dlatego stwierdzenie, że wyspy to nie peryferie, lecz zawiasy świata, nie jest przesadą. W Indo-Pacyfiku to właśnie małe terytoria często decydują o wielkich przepływach. Wyspy mogą zatrzymać flotę,

przedłużyć zasięg samolotów, wyznaczyć strefy ekonomiczne, zabezpieczyć kable, dać podstawę roszczeniom, kontrolować cieśniny, przechowywać pamięć krzywd i tworzyć pretekst do interwencji. W epoce globalizacji nikt nie jest mały, jeśli leży na trasie cudzego oddechu gospodarczego. Wystarczy spojrzeć na mapę nie oczami turysty, lecz logistyka wojny: natychmiast widać, że rajskie atole bywają bardziej strategiczne niż kontynentalne pustkowia.

Granice i wyspy mają także wspólną cechę psychologiczną: są łatwe do sakralizacji. Państwo może przekonać obywateli, że dana linia, skała czy rafa jest „nasza od zawsze", nawet jeśli owo „zawsze" zaczęło się w archiwum kolonialnym, po wojnie, arbitralnym traktacie lub militarnym fakcie dokonanym. Sakralizacja terytorium upraszcza historię i unieważnia kompromis. Jeśli terytorium jest święte, negocjacje stają się zdradą; jeśli granica jest mitem założycielskim, korekta jest hańbą; jeśli wyspa jest symbolem narodowego honoru, jej współdzielenie staje się niemożliwe. Tak właśnie polityka produkuje sytuacje, w których racjonalne rozwiązania istnieją technicznie, ale są politycznie zakazane. Wtedy pojawia się najgorszy doradca państw: prestiż. Hardy'ego „szum fal" i „dobosz wojny" nabierają tu konkretnego sensu.

Fale są realne: handel, rybołówstwo, migracje, turystyka i codzienne życie społeczności wyspiarskich. Dobosz wojny także jest realny: bazy, rakiety, patrole, roszczenia, mapy z dziewięcioma kreskami, przeloty bombowców i nacjonalistyczne przemówienia. Indo-Pacyfik to przestrzeń, w której oba dźwięki nakładają się na siebie.

Problem polega na tym, że dobosz wojny jest głośniejszy, lepiej finansowany i łatwiejszy do pokazania w mediach. Pokój nie ma defilady porównywalnej z demonstracją siły; nie ma spektakularnych zdjęć z udanej mediacji tak atrakcyjnych jak obraz lotniskowca. A jednak to właśnie cicha praca pokoju decyduje, czy lotniskowiec pozostanie jedynie demonstracją, czy stanie się narzędziem tragedii. Najgłębszy sens osi sporów polega na tym, że nie są one odosobnione. Kaszmir łączy się z Chinami przez Himalaje i Pakistan. Tajwan wiąże się z wiarygodnością USA, japońskim bezpieczeństwem, półprzewodnikami i chińską legitymacją. Morze Południowochińskie łączy ASEAN, prawo morza, handel i energetykę. Chagos spaja kolonialną przeszłość z amerykańską obecnością wojskową i rywalizacją o Ocean Indyjski. Malediwy łączą klimat, turystykę, Chiny, Indie i prawo morskie.

Pokój jako odpowiedzialność za systemową współzależność

Każda z tych osi jest lokalna tylko na mapie; w systemie stanowi węzeł. A węzły mają to do siebie, że pociągnięcie jednego sznurka potrafi zacisnąć cały układ. Indo-Pacyfik wymaga zatem myślenia sieciowego, a nie liniowego. W ujęciu liniowym można założyć, że skoro spór dotyczy dwóch państw, powinny go rozwiązać między sobą. W świecie sieciowym konflikt dwojga aktorów może jednak zmienić ceny energii, kursy walut, wyniki wyborów czy dostępność leków i elektroniki, wpływając na stabilność sojuszy i nastroje społeczne na drugim końcu planety. Globalizacja sprawiła, że lokalne incydenty zyskały globalny rezonans.

To wielki paradoks naszej epoki: świat stał się współzależny, lecz instytucje zarządzające tą zależnością pozostały kruche, powolne i uległe wobec woli państw, które często najbardziej potrzebują ograniczeń. Trzecia odpowiedź na pytanie „wojna czy pokój?" brzmi zatem: wojna w Indo-Pacyfiku najprawdopodobniej nie zacznie się od abstrakcyjnej decyzji politycznej, lecz od konkretnego miejsca, któremu nadano zbyt wielki ciężar symboliczny i strategiczny.

Wszystko może zacząć się od wyspy, rafy, cieśniny, granicy, patrolu, blokady czy pojedynczego incydentu. Pokój natomiast będzie zależał od tego, czy państwa nauczą się traktować te miejsca nie jako trofea, lecz jako punkty wymagające specjalnego reżimu odpowiedzialności. Tam, gdzie ryzyko jest systemowe, suwerenność nie może być rozumiana jak prawo do zabawy zapałkami w magazynie prochu. Suwerenność XXI wieku musi zawierać w sobie obowiązek niewysadzania wspólnego świata.

W kolejnej warstwie analizy należy przejść od miejsc do aktorów i idei, które nasycają je znaczeniem. Granice i wyspy nie walczą same. Walczą przez nie państwa, narody, armie, religie, korporacje, ruchy społeczne, kartografie pamięci i projekty cywilizacyjne. Indo-Pacyfik jest pełen terytoriów spornych, lecz za każdym z nich stoi głębsze pytanie: kto ma prawo definiować porządek? Dawne imperia, nowe mocarstwa, społeczności lokalne, prawo międzynarodowe, religijne wspólnoty wyobrażone czy rynki – a może sam ocean, milczący i eksploatowany, coraz cieplejszy i mniej skłonny do cierpliwego znoszenia ludzkiej pychy. Morze, wbrew politykom, nie podpisuje traktatów; odpowiada poziomem wody.

Regionalne mocarstwa: Chiny, USA, Indie, Japonia i ASEAN jako aktorzy pokoju uzbrojonego

Po zarysowaniu osi sporów warto zapytać, kto po nich stąpa – kto je pogłębia, kto próbuje przykryć dyplomatycznym dywanem, a kto uznaje za wygodne rowy strzeleckie przyszłej rywalizacji. Indo-

Pacyfik nie jest bowiem przestrzenią pustą. To zatłoczona scena, na której występują mocarstwa o sprzecznych ambicjach, odmiennej pamięci historycznej i różnych wyobrażeniach o naturze porządku. Jedni mówią o stabilności, drudzy o suwerenności, kolejni o wolności żeglugi, prawie do rozwoju czy neutralności. Wszyscy mają w tym swoją rację, co czyni sytuację tak niebezpieczną. Najgroźniejsze konflikty nie wybuchają bowiem wtedy, gdy jedna strona kłamie, a druga mówi prawdę, lecz gdy każda z nich posiada własny fragment prawdy i używa go jak pałki.

Widać wyraźnie, że Hardy nie traktuje mocarstw jako abstrakcyjnych figur na planszy. Każde z nich niesie określoną psychologię państwową: Stany Zjednoczone próbują utrzymać kontrolę nad systemem, Chiny dążą do przebudowy hierarchii, Indie balansują między autonomią a koniecznością stworzenia przeciwwagi, Japonia wychodzi z pacyfistycznego samozahamowania, a ASEAN usiłuje zachować centralność bez podporządkowania się któremukolwiek z hegemonów. To nie są tylko „aktorzy". To osobne projekty historyczne, które zetknęły się w momencie, gdy świat stracił jednego, bezdyskusyjnego reżysera.

USA jako psychologiczna zmienna i gwarant porządku

Stany Zjednoczone pozostają najważniejszym zewnętrznym mocarstwem Indo-Pacyfiku, choć samo określenie „zewnętrzne" bywa mylące. USA nie leżą w sercu regionu, lecz ich system sojuszy, bazy, flota, technologia, dolar, zdolności wywiadowcze oraz obecność w pierwszym i drugim łańcuchu wysp sprawiają, że stanowią jeden z jego kluczowych elementów strukturalnych. Amerykańska potęga nie sprowadza się wyłącznie do możliwości wysłania lotniskowca. Polega ona na tym, że wiele państw regionu kalkuluje własne bezpieczeństwo, zadając pytania: czy Ameryka przyjdzie? Czy zostanie? Czy się cofnie? A może zmieni zdanie po kolejnych wyborach? USA są zatem nie tylko państwem, lecz także zmienną psychologiczną w równaniach bezpieczeństwa innych krajów.

Problem Waszyngtonu polega na tym, że jego hegemonia stała się jednocześnie konieczna i kwestionowana. Dla Japonii, Korei Południowej, Tajwanu, Filipin i Australii obecność USA jest gwarancją, że Chiny nie przekształcą regionu w strefę własnej dominacji bezkarnie. Z perspektywy Pekinu ta sama obecność stanowi dowód na to, że Waszyngton nie potrafi pogodzić się z końcem własnej supremacji.

Dla części państw ASEAN Ameryka jest użyteczną przeciwwagą, lecz jednocześnie źródłem ryzyka wciągnięcia w cudzy konflikt. W amerykańskiej opinii publicznej kwestia ta coraz częściej sprowadza się do rachunku kosztów: dlaczego podatnik ma finansować bezpieczeństwo dalekich sojuszników, skoro wewnętrzne napięcia społeczne w samych USA przypominają czasem niepokojący teatr politycznej erozji? Imperium liberalne chwieje się nie tylko pod wpływem

rosnących przeciwników, ale i wtedy, gdy własne społeczeństwo przestaje rozumieć sens jego trwania. Hardy trafnie zauważa, że polityka „America First" i jej odmiany destabilizują tradycyjną architekturę sojuszniczą poprzez wprowadzenie do niej elementu transakcyjności. Sojusz, który dawniej był przedstawiany jako wspólnota wartości i interesów, zaczyna brzmieć jak rachunek hotelowy: kto ile płaci, kto korzysta za darmo, a kto zalega z opłatą za parasol bezpieczeństwa.

Taka retoryka może być atrakcyjna wewnątrz kraju, gdyż wyborca lubi słyszeć, że państwo „przestaje być frajerem". Jednak w polityce bezpieczeństwa słowo „frajer" jest granatem wrzuconym do sali narad. Sojusze opierają się na wiarygodności, a ta jest walutą delikatniejszą niż dolar – gdy raz zostanie podważona, nie wystarczy jej dodrukować przemówieniem. Z drugiej strony nie należy idealizować roli USA. Waszyngton broni wolności żeglugi, równowagi sił i bezpieczeństwa sojuszników, ale jednocześnie chroni własną pozycję w systemie.

Amerykański język normatywny nie jest wolny od interesu, co jednak nie musi go unieważniać. W polityce międzynarodowej interes i norma często podróżują razem – czasem jak małżeństwo z rozsądku, a czasem jak wspólnicy po podejrzanej transakcji. Kluczowe jest to, czy interes hegemoniczny wytwarza porządek względnie otwarty dla innych, czy zamyka system w strefie dominacji. Amerykański porządek liberalny był nierówny, selektywny i pełen hipokryzji, lecz dawał wielu państwom przestrzeń do rozwoju, handlu i instytucjonalnego manewru. Pytanie brzmi, czy porządek poamerykański byłby bardziej sprawiedliwy, czy tylko mniej zakłopotany własną brutalnością.

Chiny stanowią najważniejsze wyzwanie dla tego systemu nie dlatego, że są „złe" w banalnym, moralistycznym sensie. Są wyzwaniem, ponieważ łączą potęgę gospodarczą i ambicję cywilizacyjną z autorytarną koncentracją decyzji, pamięcią upokorzeń, nowoczesną technologią, rosnącą flotą, projekcją infrastrukturalną oraz przekonaniem, że zachodni model dominacji nie ma prawa dłużej uchodzić za naturalny. Pekin dąży do świata, w którym Chiny nie są jedynie jednym z uczestników, lecz głównym architektem reguł. Dla chińskich elit to nie agresywna fanaberia, lecz powrót do należnego miejsca. Dla sąsiadów może to jednak oznaczać życie obok mocarstwa, które własną „naturalną" centralność traktuje jako argument silniejszy niż ich suwerenność.

Najbardziej problematyczna jest właśnie ta rozbieżność perspektyw. Chiny mówią o zjednoczeniu, historycznych prawach, niedopuszczalności ingerencji, antykolonialnej korekcie porządku i prawie do rozwoju. Tajwan słyszy w tym groźbę likwidacji własnej demokracji. Filipiny, Wietnam czy Malezja odczytują to jako roszczenia morskie ograniczające ich prawa. Indie widzą próbę okrążenia, Japonia zapowiedź regionalnej dominacji, a USA – projekt wyparcia ich z kluczowej strefy świata.

Chińska strategia braku zahamowań i jej cena ludzka

Jedno chińskie zdanie rozchodzi się więc po regionie jak fala uderzeniowa, ponieważ każdy odbiorca słyszy w nim coś innego, zgodnie z własną historią lęku. Chińska strategia ma charakter wielodomenowy i nie ogranicza się jedynie do armii. Obejmuje gospodarkę, infrastrukturę, kredyty, porty, firmy technologiczne oraz standardy cyfrowe; badania nad sztuczną inteligencją, kontrolę nad surowcami krytycznymi, dyplomację w organizacjach międzynarodowych, nacisk na diasporę, politykę informacyjną i systematyczne przesuwanie granic akceptowalnego działania w szarej strefie. To właśnie strategia no holds barred, opisana w notatce: brak zahamowań nie musi oznaczać nieustannej przemocy militarnej, lecz raczej brak gotowości do samoograniczenia tam, gdzie interes państwa-partii uznaje daną przestrzeń za strategicznie niezbędną.

Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów tej logiki jest Sinciang. W ujęciu Hardy'ego tragedia Ujgurów nie jest wyłącznie problemem praw człowieka, choć bez wątpienia nim jest. To także problem geopolityczny, gdyż Sinciang stanowi lądowy pomost dla chińskiego projektu eurazjatyckiego. Pekin postrzega odrębność religijną, etniczną i kulturową Ujgurów przez pryzmat bezpieczeństwa korytarzy, lęku przed separatyzmem i ryzyka przenikania radykalnych wpływów z Azji Środkowej. Nie usprawiedliwia to jednak represji. Przeciwnie: pokazuje, jak w państwie autorytarnym logika bezpieczeństwa potrafi pożreć człowieka, wspólnotę, język, religię i pamięć. Kiedy państwo mówi o „stabilności", trzeba zawsze zapytać: czyja stabilność i czyim kosztem? Sinciang jest jednym z tych miejsc, gdzie geopolityka ujawnia swoją moralną cenę. W mapach strategicznych region może wyglądać jak korytarz, bufor, przejście czy pas transmisyjny, ale dla mieszkańców pozostaje światem życia. Wielka strategia ma tendencję do redukowania ludzi do przeszkód terenowych – to jej stała wada, wręcz zawodowa choroba.

Dlatego analiza Indo-Pacyfiku musi łączyć rozumienie interesów państw z odpornością na ich język. Jeżeli korytarz handlowy wymaga masowego nadzoru, obozów reedukacyjnych, rozbicia więzi kulturowych i kryminalizacji tożsamości, przestaje być tylko korytarzem handlowym. Staje się autostradą zbudowaną przez cudzą krzywdę.

Indie, jako trzeci wielki aktor regionu, stanowią zarazem przeciwwagę dla Chin i wyzwanie dla prostych zachodnich klasyfikacji. Nie są sojusznikiem USA w takim sensie jak Japonia czy Australia, ale nie są też neutralne w znaczeniu obojętności. Prowadzą politykę autonomii strategicznej, której rdzeniem jest niechęć do trwałego podporządkowania się cudzym blokom. Wynika to z doświadczenia kolonialnego, tradycji niezaangażowania, skali państwa, relacji z Rosją oraz ambicji bycia samodzielnym biegunem świata.

Indie i Japonia między ambicjami a lękiem

Zachód często chciałby widzieć Indie jako demokratyczną zaporę przeciw Chinom. Nowe Delhi chętnie przyjmie korzyści płynące z tej roli, lecz nie podpisze umowy o występowaniu w cudzym dramacie jako postać drugoplanowa. Pozycja Indii jest szczególnie trudna: państwo musi jednocześnie mierzyć się z konfliktem z Pakistanem i sporem granicznym z Chinami, rozwijać ambicje morskie na Oceanie Indyjskim oraz dbać o bezpieczeństwo energetyczne, przy jednoczesnym obciążeniu ogromnymi potrzebami rozwojowymi i wewnętrznymi napięciami religijno-społecznymi. Potęga Indii rośnie, ale nie jest to wzrost wolny od tarć.

Demografia może zapewnić przewagę nad starzejącymi się Chinami, lecz tylko pod warunkiem, że państwo zdoła wykształcić i zatrudnić setki milionów ludzi. Armia może odstraszać, ale nie rozwiąże problemów infrastrukturalnych, nierówności społecznych czy niewydolności administracji. Indie są mocarstwem przyszłości, jednak przyszłość - jak wiadomo - ma brzydki zwyczaj wystawiania faktur wcześniej, niż politycy planowali. W kontekście Indo-Pacyfiku kluczowe jest to, że Indie nie akceptują chińskiej dominacji nad Oceanem Indyjskim. Chińskie porty i inwestycje w Pakistanie, Sri Lance, Birmie czy Afryce Wschodniej, a także obecność w Dżibuti i próby zabezpieczenia szlaków morskich, są w Nowym Delhi odczytywane jako strategia okrążania. Nawet jeśli Pekin przedstawia je jako ekonomiczną normalność, Indie widzą w nich potencjalną infrastrukturę nacisku. Trudno im się dziwić – w geopolityce intencje są ważne, ale zdolności bywają ważniejsze. Port zbudowany dziś jako cywilny może jutro zyskać znaczenie wojskowe.

Umowa handlowa może stać się zależnością, a korytarz gospodarczy zostać przekształcony w korytarz wpływu. Państwa nie oceniają wyłącznie deklaracji sąsiadów, lecz możliwości wykorzystania tych deklaracji przeciwko nim samym. W tym układzie Japonia jawi się jako czwarty wielki aktor, którego rola rośnie nie tylko dzięki sile gospodarczej, ale i lękowi, który bywa niedocenianym paliwem polityki. Tokio widzi Chiny coraz bardziej asertywne, Koreę Północną zdolną do szantażu nuklearnego oraz Rosję jako niestabilnego gracza eurazjatyckiego, podczas gdy USA postrzega jako sojusznika potężnego, lecz politycznie zmiennego. W tej sytuacji powojenny pacyfizm przestaje być kompletną strategią; staje się raczej moralnym dziedzictwem, które trzeba pogodzić z koniecznością obrony. Japonia nie może już zakładać, że sama konstytucyjna powściągliwość wystarczy, by powstrzymać agresję. Historia bywa nauczycielką pokoju, ale geografia bywa nauczycielką alarmu.

Japońska remilitaryzacja jest jednak procesem obciążonym pamięcią. Korea Południowa, Chiny i inne państwa regionu nie zapomniały o japońskim imperializmie. Tokio może mówić o obronie, lecz sąsiedzi słyszą w tym echo dawnych okupacji. Tworzy to paradoks: Japonia jest niezbędna jako

filar równowagi wobec Chin, ale jej wzrost wojskowy musi być prowadzony ostrożnie, by nie reaktywować lęków osłabiających współpracę antykryzysową. W Indo-Pacyfiku nawet racjonalne decyzje obronne rzuca historyczny cień. Państwa nie działają w próżni – działają w pamięci innych.

Pokój jako infrastruktura w regionie głębokiej nieufności

Korea Południowa, choć nie zawsze wymieniana jako główny architekt Indo-Pacyfiku, stanowi jeden z filarów technologicznego i strategicznego układu regionu. Jej przemysł, demokracja, potencjał militarny oraz położenie czynią ją kluczowym elementem amerykańskiej architektury bezpieczeństwa. Jednocześnie Seul musi stale zarządzać ryzykiem północnokoreańskim i relacjami z Japonią, które mimo wspólnego interesu są obciążone pamięcią kolonialną. To jeden z najbardziej charakterystycznych problemów regionu: państwa, które powinny współpracować w obliczu wspólnego zagrożenia, często nie potrafią robić tego w pełni, ponieważ historia siedzi im na ramieniu i szepcze: "pamiętaj".

Korea Północna jest z kolei aktorem, którego siła wynika z nieproporcjonalności. Nie jest mocarstwem gospodarczym, nie oferuje atrakcyjnego modelu rozwoju ani miękkiej siły porównywalnej z Koreą Południową czy Japonią. Dysponuje jednak bronią nuklearną, rakietami, reżimową odpornością oraz zdolnością do prowokacji i coraz bardziej niepokojącymi powiązaniami z innymi autorytarnymi graczami. Państwo, które nie może wygrać konkurencji cywilizacyjnej, próbuje wygrać konkurencję szantażu. To logika bunkra: skoro nie mogę być podziwiany, będę się domagał strachu. W systemie Indo-Pacyfiku taki aktor jest groźny nie dlatego, że może zdominować region, lecz dlatego, że może go podpalić.

ASEAN natomiast jest strukturą, której znaczenie nie wynika z siły militarnej, lecz z położenia, demografii, gospodarki, kontroli kluczowych szlaków morskich i zdolności do utrzymywania minimalnej architektury dialogu. Państwa ASEAN znajdują się w samym punkcie podparcia Indo-Pacyfiku, jednak ich interesy są zróżnicowane. Wietnam inaczej patrzy na Chiny niż Kambodża; Filipiny inaczej kalkulują relacje z USA niż Laos.

Singapur rozumie bezpieczeństwo morskie inaczej niż Mjanma pogrążona w wewnętrznej przemocy. Indonezja, jako ogromne państwo archipelagowe i największy kraj muzułmański świata, ma potencjał bycia jednym z kluczowych głosów regionu, lecz wykazuje własną ostrożność wobec blokowego podporządkowania. Centralność ASEAN jest więc centralnością trudną. Organizacja

chce być miejscem rozmowy, ale nie zawsze jest zdolna do wspólnego działania. Pragnie unikać wyboru między USA a Chinami, choć presja tego wyboru rośnie.

Chce chronić autonomię regionu, lecz poszczególni członkowie mają różne poziomy zależności gospodarczej i bezpieczeństwa. To klasyczny problem wspólnoty złożonej z państw, które zgadzają się co do potrzeby niebycia zdominowanymi, ale różnią się w ocenie tego, jakiej dominacji boją się najbardziej. ASEAN jest więc jak rada domowników w budynku stojącym między dwoma pożarami: wszyscy chcą uniknąć spalenia, ale część uważa, że trzeba dogadać się z ogniem po lewej, część z ogniem po prawej, a część proponuje powołanie grupy roboczej do spraw dymu.

Nie należy jednak kpić z tego zbyt łatwo. Ostrożność ASEAN jest pochodną doświadczenia. Państwa postkolonialne wiedzą, że wielkie mocarstwa lubią oferować bezpieczeństwo w pakiecie z oczekiwaniami politycznymi oraz że jednoznaczne opowiedzenie się po stronie jednego bloku może uczynić je celem presji drugiej strony. Ich strategia balansowania nie jest brakiem charakteru, lecz próbą przetrwania w środowisku, w którym moralne manifesty są luksusem państw posiadających lotniskowce. Małe i średnie państwa nie zawsze mogą mówić prawdę wielkim prosto w twarz; czasem muszą czynić to poprzez opóźnianie, wieloznaczność, procedurę, milczenie i podpisywanie komunikatów, które znaczą mniej, niż wszyscy udają.

W tej architekturze pojawia się jeszcze jeden aktor: Globalne Południe jako kategoria politycznej samoświadomości. Indo-Pacyfik nie jest już miejscem, gdzie dawne metropolie mogą wydawać instrukcje dawnym peryferiom. Państwa regionu coraz częściej chcą same definiować własne interesy, wykorzystywać rywalizację mocarstw, negocjować korzyści i odmawiać przyjęcia zachodniego słownika jako jedynego języka racjonalności. Zjawisko to nie jest jednoznacznie dobre ani złe – jest faktem epoki.

Może wzmacniać pluralizm świata, ale może też ułatwiać autorytarnym reżimom ukrywanie przemocy za hasłem antykolonialnej suwerenności. „Nie pouczajcie nas” bywa słuszną odpowiedzią na hipokryzję Zachodu, lecz bywa też wygodnym parawanem dla lokalnej opresji. Sceptycyzm musi zatem działać w obie strony.

Wszystkie te mocarstwa i wspólnoty funkcjonują w warunkach narastającej nieufności, która jest być może najważniejszym zasobem negatywnym Indo-Pacyfiku. Chiny nie ufają amerykańskim deklaracjom o wolnym i otwartym regionie, widząc w nich containment. USA nie ufają chińskim zapowiedziom pokojowego rozwoju, uznając je za zasłonę dla dominacji. Indie nie ufają Chinom, Pakistanowi, a w pełni także Zachodowi. ASEAN nie ufa nikomu na tyle, by oddać mu własną przyszłość. Japonia i Korea Południowa muszą przezwyciężać wzajemną nieufność mimo wspólnych zagrożeń.

Małe państwa wyspiarskie nie ufają wielkim projektom infrastrukturalnym, choć potrzebują inwestycji. W takim środowisku nawet dobre propozycje brzmią podejrzanie, bo każda strona pyta: gdzie jest haczyk?

Pokój w Indo-Pacyfiku nie może być budowany wyłącznie przez deklaracje liderów. Potrzebne są instytucje, procedury, kanały wojskowej komunikacji kryzysowej, mechanizmy rozstrzygania incydentów morskich, przejrzystość ćwiczeń, ograniczenia militaryzacji spornych punktów, odporność gospodarcza i systemy wczesnego ostrzegania politycznego. Pokój musi stać się infrastrukturą.

Samoograniczenie mocarstw jako jedyna gwarancja pokoju

Nie wystarczy dobra wola, gdyż ma ona krótką datę przydatności – zwłaszcza po wyborach, kryzysie gospodarczym czy incydencie wojskowym. Instytucje są niezbędne właśnie dlatego, że ludzie bywają zmienni, ambitni, przestraszeni i próżni. Polityka bez instytucji to teatr charakterów, a teatr charakterów w regionie nuklearnym to gatunek zdecydowanie zbyt eksperymentalny. Intuicja Hardy'ego o „doboszu wojny" jest więc szczególnie istotna w odniesieniu do elit politycznych.

Wojna rzadko zaczyna się od spontanicznego pragnienia masowej destrukcji przez społeczeństwa. Zwykle inicjuje ją narracja: że nie ma wyboru, że przeciwnik rozumie tylko siłę, że ustępstwo jest zdradą, że historia patrzy, że naród musi wstać z kolan, że granice są święte, a cierpliwość się skończyła. To są słowa-perkusje. Wybijają rytm, do którego maszerują ludzie niemający żadnego interesu w umieraniu za ambicje cudzych gabinetów. „Bębny wojny" nie są metaforą literacką, lecz opisem technologii mobilizacji emocji.

Współczesne mocarstwa dysponują narzędziami propagandowymi nieporównanie potężniejszymi niż dawniej. Media społecznościowe, boty, deepfake'i, kampanie wpływu, kontrolowane przecieki, algorytmiczne wzmacnianie gniewu i nacjonalistyczny infotainment potrafią w krótkim czasie podnieść temperaturę społeczną. Kryzys wokół wyspy, rafy czy granicy może zostać przekształcony w widowisko dumy narodowej. Politycy, którzy raz podkręcą oczekiwanie twardości, często odkrywają, że sami stali się zakładnikami własnej retoryki. Łatwo obiecać nieustępliwość; trudniej potem podpisać kompromis bez oskarżenia o kapitulację. Dlatego odpowiedzialna elita musi umieć nie tylko mówić do narodu, ale czasem chronić go przed własnym językiem.

Czwarta odpowiedź na pytanie „wojna czy pokój?" brzmi zatem: o przyszłości Indo-Pacyfiku zdecyduje nie suma sił, lecz zdolność mocarstw do samoograniczenia. Siła bez samoograniczenia

rodzi strach, strach tworzy kontrsiłę, a ta prowadzi do eskalacji. Eskalacja szuka pretekstu, a ten zwykle się znajduje, bo świat jest hojny w incydenty. Pokój wymaga więc nie słabości, lecz dyscypliny. Państwo dojrzałe to nie takie, które może wszystko, ale takie, które wie, czego nie powinno robić, nawet jeśli ma taką możliwość. W polityce międzynarodowej największą cnotą mocarstwa nie jest zdolność uderzenia, lecz umiejętność powstrzymania ręki w chwili, gdy uderzenie dałoby krótką satysfakcję i długą katastrofę.

Indo-Pacyfik jest regionem, w którym ta cnota będzie testowana codziennie: przez chińskie ambicje i amerykańską wiarygodność, indyjską autonomię i japońską remilitaryzację, północnokoreański szantaż i południowokoreańską kruchość bezpieczeństwa. Przez ASEAN-owską sztukę balansowania oraz małe państwa pragnące rozwoju bez utraty suwerenności. Przez społeczeństwa, które chcą pokoju, lecz łatwo mogą zostać porwane przez retorykę prestiżu. Region przypomina salę pełną ludzi trzymających zapalone zapałki i zapewniających, że przyszli tu wyłącznie rozmawiać o bezpieczeństwie przeciwpożarowym.

Kolejna warstwa analizy musi zatem dotknąć czynnika często traktowanego jako „miękki", a w rzeczywistości działającego jak twarda geopolityczna stal: religii, tożsamości i cywilizacyjnych wspólnot wyobrażonych. W Indo-Pacyfiku islam nie jest tylko prywatnym wyznaniem czy elementem kultury. W ujęciu Hardy'ego staje się siłą transnarodową, która może stabilizować wspólnoty, ale może też zostać przekształcona w narzędzie mobilizacji, radykalizacji i geopolitycznego nacisku. Gdy religia wchodzi w region nasycony sporami o granice, wyspy, pamięć kolonizacji i rywalizację mocarstw, przestaje być wyłącznie pytaniem o wiarę – staje się pytaniem o władzę nad wyobraźnią.

Islam jako transnarodowa energia polityczna i społeczna Indo-Pacyfiku

Jest to także siła organizująca lojalności, pamięci, lęki, solidarności i konflikty. W ujęciu Hardy'ego szczególne znaczenie ma islam – rozumiany nie jako jednolity blok czy automatyczne źródło przemocy, lecz jako transnarodowa energia społeczna i polityczna, którą można wykorzystać do budowy pokoju, ale także do mobilizacji konfliktu. Należy tu zachować rygor pojęciowy, gdyż temat ten jest podatny na dwa przeciwstawne uproszczenia. Pierwsze, typowe dla retoryki lęku, sprowadza islam do islamizmu, islamizm do terroryzmu, a terroryzm do rzekomej istoty religii.

To myślenie prymitywne, a prymitywizm w analizie strategicznej jest luksusem, na który nie stać nawet bogatych państw. Drugie uproszczenie, typowe dla grzeczności akademickiej przestraszonej

własną odwagą, udaje, że religia nie ma znaczenia politycznego, że jest wyłącznie prywatną duchowością, a wszelkie jej użycia w konfliktach są zewnętrznym nadużyciem. To z kolei myślenie komfortowe, lecz ślepe. Religia może być językiem pokoju, miłosierdzia, normy moralnej i dyscypliny wspólnoty, ale może też stać się językiem granicy, mobilizacji, wykluczenia i świętej przemocy. Nie dlatego, że każda religia do tego prowadzi, lecz dlatego, że operuje ona na najwyższych rejestrach sensu. Kto kontroluje najwyższe sensy, ten czasem zyskuje władzę nad najniższymi odruchami tłumu.

Pojęcie "Islamii" u Hardy'ego można czytać jako próbę uchwycenia nie państwa, lecz przestrzeni wyobrażonej: obszaru, w którym muzułmańskie wspólnoty, instytucje, sieci religijne i ruchy polityczne nakładają się na finansowanie, pamięć krzywd, konflikty kolonialne oraz geostrategiczne interesy. Nie chodzi o jedną stolicę, jeden kalifat, doktrynę czy kierunek polityczny. Chodzi o fakt, że islam w Indo-Pacyfiku przekracza granice państwowe i tworzy szeroki horyzont identyfikacji. Jest siłą inną niż armia, choć niekoniecznie słabszą. Armia kontroluje terytorium, religia potrafi kontrolować wyobraźnię.

W polityce wyobraźnia bywa wcześniejsza niż terytorium: najpierw ludzie zaczynają myśleć o sobie jako wspólnocie, potem pytają, kto ma prawo mówić w jej imieniu, a na końcu pojawia się ktoś, kto proponuje sztandar. Najważniejsze przesunięcie, które trzeba uchwycić, dotyczy centrum ciężkości świata muzułmańskiego. Tradycyjna wyobraźnia europejska zbyt długo utożsamiała islam z Bliskim Wschodem: Arabią, Lewantem, Iranem, konfliktem izraelsko-palestyńskim, ropą, Zatoką Perską i pustynnym pejzażem polityki. Tymczasem demograficzna i społeczna rzeczywistość islamu jest znacznie szersza. Wielkie skupiska ludności muzułmańskiej znajdują się w Azji Południowej i Południowo-Wschodniej: w Indonezji, Pakistanie, Bangladeszu, Indiach, Malezji, a także w wielu diasporach regionu.

Indo-Pacyfik nie jest więc zewnętrznym sąsiedztwem islamu, lecz jednym z jego głównych teatrów historycznych. Kto nadal patrzy na islam wyłącznie przez pryzmat Bliskiego Wschodu, ten czyta współczesną mapę przez okulary kolonialnego muzealnika. Indonezja ma tu znaczenie szczególne. Jako największe państwo muzułmańskie świata i kluczowe państwo archipelagowe, położone przy najważniejszych morskich szlakach komunikacyjnych, łączy trzy wymiary: demografię, religię i geostrategię. Jej stabilność lub destabilizacja nie byłaby sprawą lokalną; dotyczyłaby bezpieczeństwa cieśnin, handlu, relacji ASEAN, równowagi między Chinami a USA oraz modelu pogodzenia islamu z państwowością pluralistyczną.

Indonezja pokazuje, że islam w Indo-Pacyfiku nie musi być siłą radykalizacji. Może być elementem instytucjonalnej modernizacji, społecznej solidarności i regionalnej odpowiedzialności. Ale właśnie dlatego jest też polem walki o interpretację: czy religia ma wzmacniać obywatelskość, czy

plemienność? Czy ma stabilizować moralnie demokrację, czy dostarczać paliwa polityce tożsamościowego gniewu?

Malezja, Bangladesz, Pakistan i muzułmańskie wspólnoty Indii pokazują kolejne odmiany tej samej kwestii. Islam funkcjonuje tam w odmiennych układach państwowości, etniczności, prawa, pamięci kolonialnej i konfliktów społecznych. Pakistan jest państwem powstałym w logice podziału religijno-politycznego, co sprawia, że islam jest wpisany w jego tożsamość państwową w sposób zasadniczy. Indie, choć większościowo hinduistyczne, posiadają ogromną populację muzułmańską, której pozycja staje się jednym z testów jakości indyjskiej demokracji i pluralizmu. Bangladesz łączy muzułmańską tożsamość społeczną z własną historią narodową, językową i postkolonialną. Malezja balansuje między islamem, monarchią, etnicznością malajską i wielokulturową strukturą społeczeństwa. W każdym z tych przypadków islam jest czymś więcej niż doktryną wiary – jest elementem architektury publicznej. Tę architekturę można budować na dwa sposoby.

Religia jako narzędzie sakralizacji konfliktów

Pierwsze podejście zakłada uznanie religii za źródło norm etycznych, wspólnoty, pomocy, odpowiedzialności i dyscypliny społecznej. Drugie zaś polega na przekształceniu jej w granicę polityczną: podział na my i oni, wiernych i niewiernych, naród prawdziwy i element obcy, czystość i zdradę. Hardy przywołuje tu twarde ostrzeżenie: gdy religia zostaje sprzężona z geopolityką, może przestać łagodzić przemoc, a zacząć ją sakralizować. Wojna prowadzona w imię interesu bywa brutalna, lecz pozostaje przedmiotem negocjacji. Wojna w imię absolutu jest groźniejsza, gdyż przeciwnik przestaje być rywalem, a staje się przeszkodą metafizyczną. A przeszkód metafizycznych nie zaprasza się do kompromisu. Je się usuwa.

W tym kontekście mocno wybrzmiewa cytat przypisywany ajatollahowi Chomeiniemu, że kto mówi o oddzieleniu religii od polityki, nie zna ani islamu, ani polityki. Niezależnie od oceny tego stanowiska, jego analityczna wartość tkwi w brutalnej jasności: religia może być programem władzy. Nie musi nim być, ale może. Sekularyzowane elity Zachodu często zakładały, że modernizacja automatycznie wypchnie religię z polityki. Był to błąd. Nowoczesność nie zabiła wiary; dała jej mikrofon, kanały satelitarne, media społecznościowe, finansowanie transnarodowe oraz narzędzia mobilizacji pozwalające działać poza klasycznymi instytucjami państwa. Religia nie zniknęła. W wielu miejscach przeszła aktualizację systemu.

Islam jako siła geopolityczna operuje zatem na kilku poziomach. Pierwszym jest warstwa demograficzna: liczba wiernych, struktura wiekowa, migracje, urbanizacja i napięcia społeczne. Młode społeczeństwa, nierówności, bezrobocie, korupcja i poczucie upokorzenia tworzą podatny

grunt dla radykalnych narracji. Nie wynika to z faktu, że bieda automatycznie rodzi ekstremizm, lecz z tego, że ekstremizm żywi się brakiem sprawczości. Gdy młody człowiek nie widzi drogi awansu, łatwiej uwierzy komuś, kto oferuje prostą mapę świata: twoja krzywda ma jednego winnego, twoja wspólnota jest oblężona, a przemoc przyniesie oczyszczenie.

To nie teologia, lecz socjotechnika gniewu ubrana w język sacrum. Druga warstwa to finansowanie i instytucjonalna sieć wpływów. Meczet, szkoła religijna, fundacja charytatywna, internetowy kaznodzieja, stypendium czy organizacja pomocowa mogą być narzędziami autentycznej troski społecznej, ale mogą też stać się kanałami wpływu ideologicznego i politycznego. Państwa oraz ruchy transnarodowe rozumieją to doskonale. Wpływ religijny nie zawsze objawia się wezwaniem do przemocy; częściej polega na kształtowaniu języka norm: definiowaniu, co jest prawowite, kto jest zdrajcą, jaka wspólnota zasługuje na lojalność i czy państwo świeckie jest neutralne, czy wrogie. Pytanie o to, czy kompromis jest roztropnością, czy apostazją polityczną, jest kluczowe – kto wygra spór o słownik, często wygrywa spór o zachowanie.

Trzecią warstwą jest wymiar konfliktów regionalnych. W Indo-Pacyfiku islam zderza się z granicami kolonialnymi, nacjonalizmami, autorytaryzmami i rywalizacją mocarstw. Pakistan wykorzystuje tożsamość muzułmańską jako jeden z fundamentów swojej odrębności wobec Indii. W Kaszmirze religia splata się z terytorium i roszczeniami państwowymi. W Mjanmie prześladowania Rohingjów pokazują, jak mniejszość muzułmańska może zostać przedstawiona jako element obcy i zagrożenie dla jedności narodowej. Z kolei w południowej Tajlandii, na Filipinach czy w części Indonezji lokalne konflikty i nierówności potęgują napięcia tożsamościowe. Każdy z tych przypadków ma własną historię i nie wolno ich wrzucać do jednego worka. Wszystkie jednak dowodzą, że religia staje się politycznie wybuchowa tam, gdzie państwo nie potrafi zapewnić uznania, bezpieczeństwa i sprawiedliwości.

Religia i radykalizm jako asymetryczne narzędzia destabilizacji

Czwartą warstwą jest Iran, którego rola jawi się jako czynnik destabilizujący na styku Bliskiego Wschodu, Morza Czerwonego i szerszej przestrzeni Indo-Pacyfiku. Jest to państwo szyickie, rewolucyjne w swojej ideologicznej genealogii, a jednocześnie niezwykle pragmatyczne w doborze narzędzi wpływu. Operuje poprzez sojusze, aktorów niepaństwowych, milicje i presję na szlaki morskie, wykorzystując retorykę antyzachodnią oraz antyizraelską w służbie własnych ambicji statusowych. Jego działania dowodzą, że religia w geopolityce rzadko występuje samodzielnie;

zazwyczaj idzie pod rękę z rakietami, dronami, przemytem, finansowaniem, wywiadem i chłodną kalkulacją państwową. Sacrum dostarcza sztandaru, ale logistyka dostarcza amunicji.

Morze Czerwone, Zatoka Adeńska, Bab al-Mandab i zachodni Ocean Indyjski są w tym kontekście kluczowe, gdyż łączą religię, handel i energię z przemocą asymetryczną. Ataki na statki, działania rebeliantów, piractwo czy wojny zastępcze pokazują, że bezpieczeństwa tradycyjnego i nietradycyjnego nie da się już od siebie oddzielić. Pojedynczy aktor niepaństwowy może dziś zakłócić globalną trasę handlową. Grupa zbrojna pozbawiona floty oceanicznej jest w stanie wpływać na koszty transportu, ceny ubezpieczeń i napięcia między mocarstwami. W epoce globalnych szlaków nawet lokalna milicja może trafić w nerw systemu; dawniej trzeba było zdobyć stolicę, dziś czasem wystarczy zagrozić cieśninie.

Warto powrócić do kategorii „nietradycyjnych zagrożeń", ponieważ religijny radykalizm rzadko rośnie w próżni – zazwyczaj wyrasta z gleby kryzysów społecznych. Zmiany klimatyczne, migracje, utrata ziemi, niedobory żywności czy korupcja państwa tworzą przestrzeń dla ruchów oferujących prostą wspólnotę sensu. Radykalizm religijny staje się wtedy nie tylko doktryną, ale swoistą usługą psychologiczną: daje pewność, tożsamość, wskazuje winnego i obiecuje sprawczość.

Państwo, które chce zwalczać ekstremizm wyłącznie represją, zachowuje się jak lekarz, który gorączkę leczy tłuczeniem termometru. Represja może być konieczna w odpowiedzi na przemoc, lecz jest niewystarczająca wobec źródeł rekrutacji. Nie oznacza to jednak rozmywania odpowiedzialności sprawców w socjologii – wyjaśniać nie znaczy usprawiedliwiać. Analiza przyczyn radykalizacji nie uniewinnia terrorysty, tak jak analiza przyczyn pożaru nie uniewinnia podpalacza. Jednak bez zrozumienia tych mechanizmów polityka bezpieczeństwa zamienia się w rytuał zemsty, który choć bywa skuteczny medialnie, rzadko buduje trwały pokój. Państwa muszą zatem jednocześnie neutralizować przemoc i ograniczać warunki, które ją karmią. Jest to zadanie trudne, mało spektakularne i niepasujące do wyborczego sloganu, co czyni je tym bardziej koniecznym.

Islamizm w ujęciu Hardy'ego stanowi również wyzwanie dla zachodniego pojęcia sekularyzmu. Zachód często zakłada, że neutralne państwo świeckie jest oczywistą formą racjonalności publicznej, lecz w wielu społeczeństwach muzułmańskich bywa to odbierane jako eksport obcego modelu, skompromitowanego kolonialnym doświadczeniem. Nie oznacza to, że prawa człowieka czy wolność sumienia są „zachodnimi fanaberiami", lecz że ich instytucjonalizacja wymaga większej inteligencji kulturowej niż aroganckie pouczenie. Uniwersalizm, by być wiarygodnym, musi mówić językiem godności, a nie wyłącznie językiem wykładu z dawnej metropolii.

Jednocześnie krytyka kolonialnej pychy nie może stać się parawanem dla religijnego autorytaryzmu. To kluczowy punkt równowagi: hipokryzja Zachodu nie daje lokalnym formom

opresji taryfy ulgowej. Kobiety, mniejszości, dysydenci i świeccy muzułmanie nie mogą być poświęcani na ołtarzu geopolitycznej grzeczności. Szacunek dla kultury nie jest zgodą na tyranię, a suwerenność nie powinna stanowić immunitetu dla przemocy wobec własnych obywateli.

W praktyce dyplomatycznej to zdanie potrafi być granatem. Indo-Pacyfik wymaga więc nowego języka rozmowy o religii i polityce – wolnego od islamofobii, która zatruwa wspólnoty i wzmacnia ekstremistów, ale i wolnego od naiwnego multikulturalizmu, bojącego się politycznych konsekwencji idei religijnych. Potrzebny jest język rozróżnień: między wiarą a projektem politycznym (islamizmem), między praktyką społeczną a strategią mobilizacji czy terroryzmem jako metodą przemocy. Bez tych rozróżnień analiza zamienia się albo w pałkę, albo w watę cukrową. Jedno i drugie jest bezużyteczne.

Kluczowa staje się zatem rola edukacji i mediatorów. Hardy podkreśla znaczenie oddolnego rozwiązywania konfliktów: frakcja po frakcji, wyspa po wyspie, naród po narodzie. Ten obraz można przenieść na grunt religijny. Wielkie deklaracje mają znaczenie symboliczne, lecz pokój buduje się w mniej efektownych miejscach: w szkołach, sądach, uczciwej administracji i w języku przywódców religijnych, którzy odmawiają sakralizacji nienawiści. Pokój religijny nie spada z nieba – ma swoją biurokrację, budżet i program nauczania. Religia może być bowiem potężnym zasobem pokoju, a pominięcie tego faktu uczyniłoby analizę jednostronną.

Pokój wymaga równowagi sensów i uznania

Wielkie tradycje religijne przechowują języki przebaczenia, gościnności i umiaru, ograniczania przemocy, miłosierdzia oraz odpowiedzialności przed czymś wyższym niż interes państwa. Islam posiada bogate tradycje prawne, mistyczne, etyczne i społeczne, które mogą wspierać pluralizm i sprawiedliwość. Problem polega jednak na tym, kto zyskuje instytucjonalną przewagę w interpretacji. Czy religię będą reprezentować uczeni, wspólnoty lokalne, reformatorzy i mediatorzy, czy kaznodzieje gniewu, politycy tożsamości i sponsorzy radykalizmu?

Nie ma jednej odpowiedzi. Każde społeczeństwo odpowiada na to pytanie codziennie, a wynik często zależy od tego, kto dysponuje mikrofonem, funduszami i ochroną służb. W Indo-Pacyfiku islam jako czynnik geopolityczny splata się nierozerwalnie z migracją. Migracje zarobkowe, uchodźstwo klimatyczne, przemieszczenia wywołane konfliktami czy urbanizacja tworzą nowe społeczności, często pozbawione stabilnych instytucji reprezentacji. Diaspory mogą być pomostami kulturowymi i gospodarczymi, lecz mogą też stać się przestrzeniami podatnymi na polaryzację – zwłaszcza gdy państwa przyjmujące traktują je z podejrzliwością, a kraje pochodzenia próbują nimi sterować. Migrant w świecie geopolityki bywa jednocześnie pracownikiem, wyznawcą, obywatelem

i nie-obywatelem, członkiem diaspory oraz obiektem narracji bezpieczeństwa. To zbyt wiele ról dla jednego człowieka, szczególnie gdy administracja widzi w nim jedynie rubrykę, a radykał – potencjalnego rekruta.

Wielka gra mocarstw dodatkowo instrumentalizuje religię. Państwa autorytarne lub półautorytarne wspierają określone narracje religijne, by destabilizować przeciwników lub wzmacniać własną legitymację. Państwa demokratyczne nie są tu niewinne: potrafią wspierać „umiarkowanych" aktorów według kryteriów własnego bezpieczeństwa, nie zawsze rozumiejąc lokalną tkankę społeczną. W efekcie religia staje się polem polityki wpływów. Kto finansuje szkoły? Kto szkoli duchownych? Kto kontroluje przekaz w sieci?

Kto definiuje ekstremizm i decyduje, która wspólnota jest partnerem państwa, a która podejrzanym elementem? To pytania tylko z pozoru administracyjne. W praktyce są to pytania o władzę nad religijną infrastrukturą sensu. Ostrzeżenie Hardy'ego przed religią jako zapalnikiem konfliktu należy więc rozumieć precyzyjnie: zagrożeniem nie jest islam jako taki, lecz geopolityczne sprzęgnięcie religii, upokorzenia, autorytaryzmu i nierówności z radykalną interpretacją oraz infrastrukturą przemocy. Mechanizm ten może wystąpić w różnych tradycjach, jednak w Indo-Pacyfiku skala demograficzna islamu czyni go problemem strategicznym pierwszego rzędu. Można powiedzieć wprost: ignorowanie islamu w analizie tego regionu jest błędem równie dużym, co ignorowanie chińskiej floty. Oba czynniki zmieniają zachowania państw, z tą różnicą, że okręty widać na zdjęciach satelitarnych, a przemiany religijnej wyobraźni dostrzegamy często dopiero wtedy, gdy jest już za późno.

Piąta odpowiedź na pytanie „wojna czy pokój?" brzmi zatem: pokój w Indo-Pacyfiku wymaga nie tylko równowagi militarnej, ale równowagi sensów. Społeczeństwa muszą dysponować językami godności silniejszymi niż języki upokorzenia. Wspólnoty religijne potrzebują instytucji zdolnych przeciwstawić się handlarzom świętym gniewem. Państwa muszą zrozumieć, że represja bez sprawiedliwości produkuje ciszę, a nie lojalność. Mocarstwa zaś powinny przestać traktować religię jak przycisk, który można nacisnąć w cudzym społeczeństwie bez skutków ubocznych. Analitycy muszą porzucić wygodne karykatury – są one tanie, lecz polityka oparta na karykaturze bywa bardzo kosztowna. Islam nie jest osobnym rozdziałem obok geopolityki Indo-Pacyfiku; jest jedną z jej warstw. Przebiega przez porty i migracje, granice i mniejszości, państwa i konflikty, szlaki handlowe oraz pamięć kolonialną.

Może być mostem, jeśli zostanie włączona w architekturę uznania i odpowiedzialności. Może stać się lontem, jeśli zostanie upokorzona, zradykalizowana lub użyta jako narzędzie wojny zastępczej. Jak zwykle w historii idee nie zabijają same – zabijają ludzie i instytucje, które nadają im kształt rozkazu. To jednak idee decydują, czy rozkaz brzmi jak zbrodnia, czy jak obowiązek. Walka o pokój

zaczyna się wcześniej niż mobilizacja armii: zaczyna się w języku, którym wspólnoty opowiadają sobie, kim są i kogo wolno im nienawidzić.

Należy zejść jeszcze głębiej – od religii i tożsamości ku zagrożeniom nietradycyjnym, które choć nie zawsze noszą mundur, potrafią obalić państwa równie skutecznie co dywizje. Klimat, migracje, pandemie, cyberataki, handel ludźmi, nielegalne rybołówstwo, przestępczość transnarodowa czy kryzysy żywnościowe i niszczenie oceanów tworzą nowy krajobraz bezpieczeństwa. To tam „szum fal" Hardy'ego przestaje być tylko metaforą pokoju, a staje się pytaniem o to, czy ocean, od którego zależy życie regionu, pozostanie wspólnym dobrem, czy zostanie zamieniony w ostatni łup epoki mocarstwowego głodu. Fundacja Dobre Państwo zaprasza do kolejnego artykułu.

> Ostatecznie Indo-Pacyfik staje się egzaminem z dojrzałości cywilizacyjnej, w którym najwyższą cnotą mocarstwa nie jest zdolność do zadania ciosu, lecz umiejętność powstrzymania ręki. Czy potrafimy uznać, że potęga bez samoograniczenia nie jest oznaką wielkości, lecz dziecięcą chorobą imperiów? Historia uczy nas bowiem z brutalną jasnością, że ta konkretna choroba bywa śmiertelna dla wszystkich dorosłych społeczeństw.

Inspiracje

[1] 

"War or Peace The Indo-Pacific on the Cusp" Dennis Hardy

Taylor & Francis | ISBN: 9781040883952

Dennis Hardy jest emerytowanym profesorem i niezależnym badaczem z wykształceniem akademickim w dziedzinie geografii i urbanistyki. Większość swojej kariery spędził na Uniwersytecie Middlesex w Londynie. Jego obszerna praca naukowa obejmowała różnorodne tematy, w tym utopizm, historię społeczną i urbanistykę. Ostatnio jego zainteresowania badawcze przesunęły się w kierunku geopolityki, ze szczególnym uwzględnieniem Oceanu Indyjskiego i regionu Indo-Pacyfiku. Jest członkiem-założycielem Instytutu Badań nad Pokojem i Dyplomacją im. Jamesa R. Manchama na Uniwersytecie Seszeli i redaktorem naczelnym czasopisma „Seychelles Research Journal". Hardy jest autorem licznych książek na temat rozwoju miast i geopolityki regionalnej, które przyczyniają się do zrozumienia złożonych stosunków międzynarodowych i historycznych eksperymentów społecznych.

Dennis Hardy *is an Emeritus Professor and independent researcher with an academic background in geography and urban planning. He spent the majority of his career at Middlesex University in London. His extensive scholarly work has spanned diverse subjects, including utopianism, social history, and town planning. More recently, his research interests have shifted toward geopolitics, with a specific focus on the Indian Ocean and the Indo-Pacific region. He is a founding member of the James R. Mancham Peace and Diplomacy Research Institute at the University of Seychelles and serves as the editor of the Seychelles Research Journal. Hardy has authored numerous books on urban development and regional geopolitics, contributing to the understanding of complex international relations and historical community experiments.*

University of Seychelles

Literatura uzupełniająca

Książki

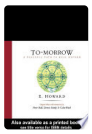
Autorzy przywoływani w artykule:



[1] "Utopian England"

Dennis Hardy

2000 | Psychology Press | ISBN: 9780419246602



[2] "To-Morrow"

E. Howard, Sir Peter Hall, Dennis Hardy, Colin Ward

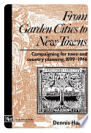
2006 | Routledge | ISBN: 9781134370900



[3] "Arcadia for All"

Dennis Hardy, Colin Ward

2004 | Five Leaves Publications



[4] "From Garden Cities to New Towns"

Dennis Hardy

2003 | Routledge | ISBN: 9781135832254



[5] "From New Towns to Green Politics"

Dennis Hardy

2003 | Routledge | ISBN: 9781135832179

Literatura pokrewna (Google Scholar):

[6] "Rimland"

Nicholas Spykman



[7] "Islamic Government"

Ruhollah Chomeini



[8] "Forty Hadith"

Ruhollah Chomeini

CreateSpace | ISBN: 9781515073161

[9] "Kashf al-Asrar"

Ruhollah Chomeini



[10] "The New International"

1968

Artykuły naukowe

Autorzy przywoływani:

[1] "Critique of the Power of Judgment"

Immanuel Kant

2000 | Cambridge University Press eBooks | DOI: 10.1017/cbo9780511804656

Google Scholar

[2] "Kant: Political Writings"

Immanuel Kant

1991 | Cambridge University Press eBooks | DOI: 10.1017/cbo9780511809620

Google Scholar

[3] "Reading 3.1 Perpetual Peace"

Immanuel Kant

2017 | Conflict After the Cold War | DOI: 10.4324/9781315231372-16

Google Scholar

[4] "The human habitat"

Halford J. Mackinder

1931 | Scottish Geographical Magazine | DOI: 10.1080/14702543108555217

Google Scholar

[5] "America's Strategy in World Politics: The United States and the Balance of Power"

Carl J. Friedrich, Nicholas J. Spykman

1942 | The American Historical Review | DOI: 10.2307/1843320

Google Scholar

[6] "The geography of the peace"

Helen R. Nicholl, Nicholas J. Spykman

1944 | Medical Entomology and Zoology

Google Scholar

[7] "America's Strategy in World Politics"

Malcolm P. Sharp, Nicholas J. Spykman

1942 | The University of Chicago Law Review | DOI: 10.2307/1597351

Google Scholar

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 90420b3b-a683-49d8-a8fc-73b90d127c47